Wyrhodzi 1 i 15 każde ul. św. Anny 12 NABYCIA U KOLPORTERÓW PISM I W KIOSKACH „RUCHU" Cena 20 gr.

ECHO SPOŁECZNE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM I PRACOWNICZYM

NR. 7 WARSZAWA — 1 KWIETNIA 1936 R. ROK IV

JAN OLSKI

Chleba i pracy dla wszystkich...

— „...Uwaga rządu w tej chwili całkowicie skierowana jest na pobudzenie procesów gospodarczych, na poparcie zdrowych poczynań, inicjatywy prywatnej, na wykonanie planów inwestycyjnych, na zwiększenie obrotów i zatrudnienia.

...zrobimy wszystko, by zasilić nasze życie gospodarcze i umożliwić pracę w kraju bezrobotnym, aby ruszyć z wielkiemi robotami inwestycyjnemi, a przedewszystkiem, aby wzmocnić siły obronne naszego Państwa poprzez ożywienie naszego przemysłu".

Wyjątek z oświadczenia Prezesa Rady Ministrów w Sejmie w związku ze sprawą pełnomocnictw.

— „Jeśli idzie o sytuację gospodarczą, o sytuację materjalną klasy pracującej miast i wsi, to dotychczasową działalność rządu z jej punktu widzenia należy ocenić ujemnie, gdyż nic sytuacji świata pracy, będącego podstawą społeczeństwa i Państwa, nie zmieniło na lepsze".

Wyjątek z przemówienia posła W. Szczepańskiego w Sejmie w dniu 26 marca r. b.

— „...W kraju szerzy się okropna nędza. Robotnik, wieśniak, bezrobotny inteligent i zubożały rękodzielnik przymierają z głodu i niedostatku. Spychamy ten stan na t. zw. kryzys. Wiemy dobrze, że on dotknął dziś i pracodawców i pracujących, ale czy zawsze w równej mierze? Czy jednak w wielu wypadkach niepohamowana chęć zysku, zbyt wysokie wynagrodzenia jednych nie powodują nieuczciwego wyzysku biedy? Ze wstydem przyznać musimy, że tak jest, a krwawe wypadki w Krakowie i gdzieindziej są tego jaskrawym dowodem. Wiele dziś mówi się o opiece nad robotnikiem, ale w jak wielu wypadkach ta opieka pozostaje słowem i nie przyczynia się do umożliwienia życia szerokim rzeszom...

Niech te krwawe i bolesne wypadki wstrząsną nami i doprowadzą do przeświadczenia, że tylko w jedności i z zachowaniem sprawiedliwości społecznej jest ratunek..." —

Wyjątek z orędzia ks. Metropolity krakowskiego z dni ostatnich.

Jeżeli atakujemy w drugim z rzędu numerze „Echa Społecznego" zagadnienie walki z bezrobociem, jako walki z najgroźniejszym dla Państwa i społeczeństwa wrogiem wewnętrznym i jeżeli całą naszą siłę argumentacji ześrodkowujemy na sprawie rozbudowy za wszelką cenę zatrudnienia bezrobotnych pracowników i młodzieży, jako jedynie ważkiego i skutecznego kontrataku na tego wroga wewnętrznego, — to czynimy to dlatego, że, jak słusznie oświadczył ostatnio jeden z posłów: „nic sytuacji swiata pracy, będącego podstawą społeczeństwa i Państwa, nie zmieniło na lepsze".

A ponieważ sytuacja ta się nie polepszyła, przeto uznać ją winniśmy za jeszcze gorszą, niż była ona dotychczas.

I tak jest, niestety, w rzeczywistości.

Czy weźmiemy bowiem pod uwagę dane statystyczne o stanie bezrobocia (nawet oficjalne) — wskazują one dalszy wzrost klęski bezrobocia, czy rozważać będziemy możliwości finansowe, jakiemi Państwo rozporządza na przeprowadzenie tak ważnych w walce z bezrobociem robót inwestycyjnych — to się okaże, że odnośne kredyty na okres lat 1936-37 są o przeszło 100 miljonów złotych mniejsze, aniżeli w okresie lat 1935-36 (326 miljonów złotych i 225 miljonów złotych),. czy wreszcie uświadomimy sobie nastroje, jakie panują wśród rzesz bezrobotnych i ich rodzin i stosunek obecny tych rzesz do Państwa i do społeczeństwa — a jest to czynnik polityczny i społeczny pierwszorzędnego znaczenia dla całego organizmu państwowego — to musimy przyznać bez obsłonek, że stan obecny jest groźny.

Najlepszym ch a tego dowodem jest fakt, że episkopat rzymsko-katolicki, którego posunięcia taktyczne, zwłaszcza w sprawach socjalnych, nie mogą być chyba oceniane jako niedość przemyślane i ostrożne, — uznał w obecnej chwili za konieczne zająć w orędziu krakowskiego swego przedstawiciela nadspodziewanie zdecydowane stanowisko w obronie świata pracy.

A mimo to wszystko...

W dalszym ciągu przerzucamy sobie, może już nieco w zdenerwowaniu i lęku, piłeczkę z napisem „świat pracy", wykrzykując jednocześnie na zmianę to „Jak będzie zwiększone w kraju zatrudnienie — to zwiększą się obroty zakładów pracy, ożywi się gospodarka narodowa, albowiem zwiększy się zasięg konsumentów", to znowu „Dajcie pomoc finansową zakładom pracy, zarówno przemysłowym jak i rolnym, a zwiększymy zatrudnienie", albo wreszcie „Niech się zwiększy spożycie na rynku wewnętrznym — to zwiększymy wówczas zatrudnienie". Grający, pochłonięci przez tak piękną grę, zdają się zapominać o tem, że piłeczka, którą grają — potulna i odrętwiała — przemienić się może nagle w sposób cudowny (bo wszak cuda dzieją się dzisiaj w świecie w obfitości bezkonkurencyjnej!) w granat, czy bombę o nieznanej dotychczas u nas mocy i przy pierwszem lepszem kolejnem uderzeniu wybuchnąć niszcząc doszczętnie ogłupiałych z przerażenia graczy.

Nie wolno, oczywiście, lekceważyć tego kanonu gospodarczego, który głosi, że im jest bardziej ożywiony krajowy rynek zbytu (nie mówiąc o eksporcie), tem stan zatrudnienia jest potężniejszy, a przeto bezrobocie maleje. Ale nie wolno również przemilczeć i tej prawdy bezwzględnej, że i **w obecnym stanie rzeczy,** niezależnie od poważniejszych zmian w życiu gospodarczem Polski, **istnieją najzupełniej realne możliwości wydatnego zwiększenia obecnego stanu zatrudnienia.**

Gdzie, w jakiej drodze i w jakim stopniu? Gdzie — w przemyśle, na roli, w urzędach i w instytucjach, a w następstwie tego również i na wolnym rynku; w jakiej drodze — przez doszczętne wyniszczenie przestępstw pracy w rodzaju kumulacyjno-emeryckich, prezydencko-serwitutowych i dożywoci, gdy chodzi o politykę personalną w zakładach pracy i instytucjach (w pierwszym rzędzie rządowych i samorządowych, gdyż przykład idzie „z góry"); przez skrócenie dnia pracy, przez znowelizowanie ustaw, stanowiących o absurdalnych życiowo granicach wieku pracowników, uznawanego za podstawę do wymiaru zaopatrzenia emerytalnego, przez rozsądną i planową rozbudowę spółdzielczości pracy, przez doszkalanie zawodowe bezrobotnych pracowników i młodzieży, przez **przymusowe** dodatkowe zatrudnianie bezrobotnych w zakładach pracy i w instytucjach, w zależności od wysokości obrotów i zysków, bądź też od nasilenia pracy. Trudno jest wprost uwierzyć, że istnieją dzisiaj instytucje (nietylko prywatne), w których pracownicy zmuszani są do wykonywania codziennie prac dodatkowych do godziny 10-ej lub 11-ej wieczorem. Jak tedy zakwalifikować kierowników owych instytucyj? Wydaje się nam dla nich miano „szkodników społecznych", jako zbyt łagodne.

Wreszcie, w jakim stopniu możnaby obecnie zwiększyć stan zatrudnienia? Odpowiadamy — w stopniu nadspodziewanie wielkim.

Zrobimy małą dygressję w kierunku zachodnim. W dniu 21 marca r. b. minęło trzy lata od chwili rozpoczęcia w Niemczech planowej walki z bezrobociem. Obecnie podane zostały wyniki, osiągnięte w tej dziedzinie. A więc liczba zatrudnionych wzrosła w stosunku do roku 1932 o 35%. Ilość bezrobotnych spadła o 56%. Dochód społeczny wzrósł o 20%. Inwestycje zwiększono o 100%. Wkłady oszczędnościowe wzrosły o 40%, wpływy podatkowe o 44%. Natomiast liczba upadłości wyniosła zaledwie 1/3. Przyjmując nawet pewien odsetek powyższych cyfr na dobro rachunku potrzeb agitacyjno-propagandowych Reichu, warte jest to, co pozostanie, bliższego zastanowienia i przeanalizowania. Być może, że wyniki dokonanych w tym względzie analiz nie pozostałyby bez dodatniego wpływu również i na bieg naszej walki z bezrobociem.

Podkreślamy pojęcie walki z bezrobociem, a nie kompromisu z bezrobociem, albowiem tem właśnie pojęciem należałoby raczej określić wszystkie poczynania, jakie u nas znalazły dotychczas w tym zakresie prawo obywatelstwa.

Do prawdziwej, bezwzględnej walki brak nam charakteru i silnej woli, by ruszyć z miejsca. To są również i nasze verba veritatis!

A co tedy ważkiego czyni w tym zamęcie polski świat pracowniczy? Czy zajął on już pewne określone stanowisko? Czy zgłosił, być może, — jako jeden z najbardziej powołanych rzeczoznawców w sprawie — konkretne projekty o zwiększeniu stanu zatrudnienia? Bynajmniej. Zaczyna się dopiero mówić o jakiejś naradzie gospodarczej świata pracy przy udziale tych lub owych organizacyj politycznych, czy też zawodowych. Nic ponadto!

Ustosunkowanie się do zagadnienia walki z bezrobociem przez zwiększenie stanu zatrudnienia ze strony wszystkich zainteresowanych tem czynników gospodarczych i pracowniczych, rządowych i prywatnych, nasuwa nam porównanie do grona dzieci, które otrzymały do zabawy komplet sześcianów z drzewa; każda z płaszczyzn każdego z sześcianów zawiera

(Dalszy ciąg na str. 2-ej.)

Od wydawnictwa

„ECHO SPOŁECZNE", JAKO ORGAN PRASOWY ŚWIATA PRACOWNICZEGO, WYRAŻA GŁĘBOKIE UBOLEWANIE SPOWODU TRAGICZNEJ ŚMIERCI W DNIACH 23 i 25 MARCA R. B. W KRAKOWIE DZIESIĘCIU UCZESTNIKÓW POLSKIEGO ŚWIATA PRACY.

Prawo walki o byt jest prawem istnienia życia w świecie.

J. Piłsudski.

(Dokończenie ze strony 1-szej.)

część całości obrazka, który trzeba złożyć przez właściwe dopasowanie do siebie owych sześcianów. Każde z dzieci biedzi się oddzielnie i bezskutecznie nad złożeniem obrazka; dopiero wzajemne porozumienie co do układu sześcianów pozwala pomyślnie rozwiązać łamigłowkę.

Przepraszamy czytelników u przejmie za to nazbyt prymitywne, być może, porównanie, ale czyż ono nie charakteryzuje prawdziwie — pomimo swej prostoty — obecnego stanu rzeczy?

Ludzie, słabo orjentujący się w sprawach gospodarczych Państwa, głoszą — nie bez sukcesu wśród osobników o tej samej prostocie poglądów — że wielka marcowa narada gospodarcza spaliła całkowicie na panewce, że w wyniku swych prac nie dała nic godnego uwagi i że system wspólnych narad czynników w danej sprawie zainteresowanych, jest systemem bezwartościowym i zawodnym. Jesteśmy zdania wręcz odmiennego. Tak właśnie twierdzimy, opierając się chociażby na wynikach owej — nieudanej, zdaniem ekonomistów z nad „poł czarnej", — marcowej narady gospodarczej. Nie oczekiwaliśmy bynajmniej po tej naradzie natychmiastowych, zbawiennych zmian naszego życia gospodarczego lub „odręcznego" wyrównania wielkich wybojów na drodze pracy, dokonanych przez ciężkie koliska molocha kapitalistycznego. Ale nie da się zaprzeczyć, że owa narada zbliżyła do siebie boczących się dotychczas na siebie przemysłowców i rolników, pozwoliła czynnikom rządzącym zorjentować się dobrze co do istotnej wartości czynów i zamierzeń rodzimego kapitału, wreszcie stwierdzić niezbicie, że **bez współdziałania świata pracy w dziele odrodzenia gospodarczego Państwa wszelkie plany i zamierzenia nie posiadają żadnej realnej wartości.**

Dlatego też śmiemy obecnie twierdzić, że jest czas najwyższy, aby polskiemu światowi pracy, zorganizowanemu w związkach zawodowych, dana była możność przeprowadzenia narad z reprezentacją życia gospodarczego, potraktowaną w szerokiem ujęciu, i przy udziale, oczywiście, przedstawicieli czynników rządzących, występujących tutaj w podwójnej roli: pracobiorców oraz gwarantów interesów Państwa, jak najściślej zawsze związanych ze sprawiedliwością społeczną.

Narada, której żądamy, odbyć się winna pod hasłem: „Walka z bezrobociem przez maksymalny wzrost zatrudnienia", a jej znaczenie praktyczne dla Państwa i społeczeństwa zależeć będzie od tego — kto, kiedy i w jakiem ujęciu przeprowadzać ją będzie.

Jan Olski.

PAMIĘTAJ O UCZCZENIU PRZEZ WARSZAWĘ PAMIĘCI WODZA NARODU J. PIŁSUDSKIEGO
ZŁÓŻ OFIARĘ NA BUDOWĘ POMNIKA

HENRYK RYGIER

Zagadnienie, którego nie unikniemy

Istnieją zagadnienia, od których poprostu uciekamy, choć wiemy, że nietylko nie ratuje to sytuacji, lecz nawet ją pogarsza. Nie starcza nam najwyraźniej odwagi by rzeczywistości spojrzeć prosto w oczy, i wleczemy za sobą jakieś powiklane komplikacje, zamiast sprawę postawić jasno i przeciąć wrzód, który ropieje i zatruwa cały organizm.

Do liczby tych zagadnień pilnych należy zagadnienie przegrupowań w strukturze zawodowej t. zw. pracowników umysłowych.

Bodajże o tej sprawie nikt dotychczas odważnie nie pisał, a jeśli tu i owdzie ukazał się na ten temat artykuł, to tak jakoś wstydliwie skonstruowany, że de facto nie wiadomo, o czem właściwie jest mowa.

Zróbmy więc wyłom i postawmy sprawę jasno, choćbyśmy się mieli narazić na ataki ze strony dość licznej grupy społecznej.

Pojęcie pracownika umysłowego nietylko w Polsce, ale na całym świecie, jest wciąż nieokreślone, prawdopodobnie ściślej definicji nie doczekamy się w bliższym czasie.

W Polsce „ustawowego" pracownika umysłowego wyznaczają do tej pory dwa kryterja: określony cenzus wykształceniowy i wykonywanie określonych czynności, przyczem w tym ostatnim przypadku cenzus jest częstokroć prawie dotychczas obojętny. W rzeczywistości wygląda to u nas obecnie tak, że około 45% t. zw. pracowników umysłowych nie posiada dostatecznego wykształcenia ogólnego i zawodowego, a mimo to byli oni przez szereg lat lub są w dalszym ciągu pracownikami umysłowymi.

Ale co dzieje się z chwilą utraty przez nich dotychczasowego zajęcia i nieznalezienia lub częstokroć nawet wogóle niemożności uzyskania, dla braku kwalifikacyj, nowego analogicznego zatrudnienia? Pracownik taki wpada w stan trwałego bezrobocia i, powiedzmy sobie jasno, de facto nie ma już żadnych podstaw do mianowania się nadal pracownikiem umysłowym. Mimo to kurczowo trzyma się tego pod każdym już względem bezużytecznego, czy raczej szkodliwego dlań „tytułu"; przejście do grupy pracowników o charakterze innym uważa za uchybienie dla siebie, a w rezultacie stacza się coraz niżej, istotnie się deklasując.

Konsekwencyj tego stanu nie da się uniknąć, i wyjścia ze stanu trwałego bezrobocia pracowników umysłowych, szacowanego na 200.000 osób, szukać trzeba na innej płaszczyźnie. I oświetlenie tej sprawie trzeba dać inne, niż się jej dawało dotychczas.

W związku z tem zagadnieniem coraz częściej słyszy się pogląd, że w strukturze zatrudnienia muszą zajść zasadnicze poważne zmiany wobec wprowadzenia we wszystkich już krajach kulturalnych powszechnego obowiązku szkolnego. Siedmioletnia, a nawet ośmioletnia w niektórych państwach, szkoła powszechna staje się niewystarczającem minimum wykształcenia. Niezrealizowanie w Polsce siedmioletniej szkoły dla wszystkich bez wyjątku dzieci wywołało ostatnio energiczny sprzeciw ze strony społeczeństwa i spowodowało utworzenie przez kilkadziesiąt centralnych związków i stowarzyszeń pracowników umysłowych i fizycznych i ludności wiejskiej Międzyorganizacyjnego Komitetu Popierania Oświaty Powszechnej.

W krajach o wyższej kulturze coraz energiczniej wysuwa się zasadę przedłużenia powszechnego obowiązku szkolnego do 16-go roku życia młodzieży, co odpowiada w przybliżeniu naszej małej maturze gimnazjalnej, i widzi się w tem również jeden ze skutecznych środków walki z bezrobociem oraz sposób przeciwdziałania demoralizacji śród młodzieży, która w okresie między ukończeniem szkoły a tak trudnem znalezieniem pracy zostaje w obecnych warunkach zdana na wpływy ulicy.

Dążenia do tej reformy potęgują się i oblekają w uchwały szeregu wielkich międzynarodowych kongresów, oraz coraz poważniej rozważane są na posiedzeniach w Międzynarodowem Biurze Pracy.

Lekceważyć tego ruchu w każdym razie nie wolno; trzeba również zdać sobie sprawę z konsekwencyj ew. przedłużenia lat nauczania, prowadzących do stopniowego zmniejszania różnicy miedzy cenzusem wykształceniowym warstw społecznych „wyższych" i „niższych". Tembardziej zacierałyby się różne między coraz organizacyjnie bliższymi sobie pracownikami „fizycznymi" i „umysłowymi" w tym choćby znaczeniu, że cenzus w zakresie wykształcenia ogólnego, uznany jako minimum dla każdego obywatela (odpowiednik obecnej małej matury), przestałby być podstawą do kwalifikowania ludzi do tej lub innej **powszechnej pracy zawodowej..**

Posiadanie tego cenzusu, który uzyskać można około 16—17 roku życia, w miarę jego rozpowszechniania się, ani dyskwalifikowałoby do pracy fizycznej, ani kwalifikowałoby do pracy dziś ustawowo zwanej „umysłową". Pracą „umysłową" byłyby zapewne w tych warunkach inne czynności, mianowicie te, które wymagają znacznie wyższych kwalifikacyj umysłowych, możliwie że częściowo wrodzonych, a niewątpliwie związanych z osiągnięciem wysokiej już kultury umysłu. Niema to mieć nic wspólnego z tak rozpowszechnionemi obecnie ideami elitarystycznemi, wychodzącemi z zupełnie innych założeń klasyfikacyjnych.

Jeśliby taki miał być rozwój zdarzeń, to w dalszej konsekwencji przestałoby być „dyshonorem" dla maturzysty gimnazjalnego wykonywanie takich czynności, jak n.p. konduktora tramwajowego czy kolejowego, maszynisty, sprzedawcy sklepowego, akwizytora, hodowcy drobiu, brakarza futer, drobnego rolnika i ogrodnika, rzemieślnika czy wykwalifikowanego robotnika przemysłowego.

Przy bardziej masowym dopływie wyżej, niż dotychczas, wykształconych elementów, do tego rodzaju zatrudnień, mogło by przestać męczyć pytanie, czy nie szkoda pieniędzy na tak wysoko zorganizowane szkolnictwo, jak nie męczy ono dziś w zakresie siedmio i ośmioletniej szkoły powszechnej, lub tak kosztownych gimnazjów krawieckich, czy ślusarskich, choć szkolenie rzemieślników w warsztatach jest niewątpliwie tańsze i nie wymaga dopłat ze strony państwa, a prowadzenie np. czteroletniej szkoły powszechnej, zamiast siedmioletniej, przyniosłoby jeszcze większe „oszczędności" budżetowe.

W konkluzji poglądy te dążą do zwalczania opinji, jakoby przejście od pracy „umysłowej" do pracy „fizycznej" było „deklasowaniem" się człowieka i wskazuje, że dopóki przesąd ten nie zostanie wykorzeniony, dopóty powrót licznej dziś rzeszy bezrobotnych „pracowników umysłowych" do normalnego życia jest uniemożliwiony.

Zagadnienie istotnie ważne i zwracam na nie uwagę opinji publicznej, a zwłaszcza tych, którzy nareszcie powinni zdać sobie sprawę z beznadziejności poszukiwania pracy w dotychczasowych ich zawodach.

Należy zdecydowanie postawić pytanie: czy istotnie nie **w tem właśnie przesunięciu** od zatrudnień mniej produkcyjnych, a jednak wciąż wyżej „szanowanych", pomimo narzekania na ich charakter biurokratyczny, **do zatrudnień i usług produkcyjnych**, — czy nie w tym kierunku szukać należy jednego z najskuteczniejszych środków wyjścia z niepokojącego i wciąż potęgującego się stanu bezrobocia pracowników umysłowych i młodzieży, kończącej szkoły?

I czy nie w ten tylko sposób odciąży się rynek pracy od nadmiernej konkurencji ze strony armji rezerwowej, wpływającej w najujemniejszy sposób na warunki pracy i płacy zatrudnionych, a należycie wykwalifikowanych pracowników umysłowych?

I zatrudnieni i bezrobotni mają się nad czem głęboko zastanowić.

Henryk Rygier.

ZYGMUNT KMITA

Romuald Mielczarski
pionier spółdzielczości spożywców w Polsce

W dniu 30 marca r. b. minęło lat dziesięć od chwili śmierci Romualda Mielczarskiego, przywódcy całego ruchu spółdzielczego spożywców w Polsce i głównego twórcy Związku Stowarzyszeń Spożywców Rzeczypospolitej Polskiej.

Urodzony w roku 1871, Mielczarski, będąc jeszcze uczniem gimnazjum, przed samemi egzaminami maturalnemi zostaje aresztowany 1 maja 1890 roku i po czteromiesięcznym pobycie w cytadeli otrzymuje, jako niepełnoletni, wyrok administracyjny na rok ciężkiego więzienia, które odbywa w tak zwanych „Krestach" — celkowem więzieniu w Petersburgu.

Po wyjściu z więzienia w 1892 roku, wobec zakazu powrotu do stron rodzinnych, zamieszkuje przez kilka miesięcy w Grodnie i po otrzymaniu pozwolenia na wyjazd zagranicę, udaje się do Berlina, skąd po paru miesiącach zmuszony jest przenieść się do Zurichu, gdyż władze pruskie, inspirowane przez agentów rosyjskich, uznały jego pobyt na terytorjum niemieckiem za niebezpieczny dla państwa.

Podczas dwuletniego pobytu w Zurichu Mielczarski, w opłakanych warunkach materjalnych, studjuje w miejscowym uniwersytecie, specjalnie pracując nad zaznajomieniem się z dziejami Polski i całą literaturą porozbiorową, stworzoną przez demokrację polską na emigracji. Ułatwił mu to Stefan Żeromski, który wówczas był bibljotekarzem Muzeum Narodowego w Rapperswilu i utrzymywał stałe stosunki z młodzieżą polską w Zurichu.

W 1894 roku Mielczarski przenosi się do Antwerpji, gdzie wstępuje do Akademji handlowej, którą kończy w roku 1896 „cum eximia laude".

W roku 1896 wyjeżdża do Rapperswilu, gdzie zaofiarowano mu wakujące po Żeromskim stanowisko bibljotekarza. Na tem stanowisku pozostaje przez lat cztery, cały czas wolny od zajęć bibljotekarskich, poświęcając pracy nad wyjaśnieniem przyczyn niepowodzenia powstania 1830 roku. Jednocześnie, pod pseudonimem Jana Wierzby, pisywał artykuły historyczne do „Światła", wydawanego w Londynie przez Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich.

W roku 1900 Mielczarski postanawia wrócić do kraju bez względu na to, co go może spotkać ze strony rządu rosyjskiego. Aresztowany na granicy, odsiaduje 8 miesięcy więzienia śledczego w Petersburgu poczem, mając zabroniony pobyt w Królestwie Polskiem, udaje się na Kaukaz, gdzie otrzymuje posadę zarządzającego kopalnią manganu w Czijaturach.

W roku 1903 przenosi się do Charkowa, gdzie w firmie H. Meyer kieruje działem sprzedaży produktów górniczo-hutniczych sprowadzanych z Królestwa.

Ruch rewolucyjny w Państwie rosyjskiem, który rozpoczął się już w roku 1904 i doszedł do swego szczytu w 1905 roku, poważnie zachwiał podstawami tronu carskiego. Zatrwożeni o swój stan posiadania możnowładcy rosyjscy postanowili nieco złagodzić stosowany dotychczas z całą bezwzględnością absolutyzm carski i ucisk narodowościowy. Rozpoczęła się — na krótko zresztą — „era wolnościowa", która, pomiędzy innemi, znalazła swój wyraz w umożliwieniu powrotu do kraju licznym jednostkom, które za swoje przekonania i działalność społeczno-polityczną od szeregu lat zmuszone były pozostawać na zesłaniu lub na emigracji. Pomiędzy innymi wrócił w 1905 roku po 15 latach tułaczki Romuald Mielczarski i od pierwszej chwili przyjazdu do kraju aż do ostatniego tchnienia życia poświęcił wszystkie swoje siły pracy nad rozbudową kooperacji spożywców, która była dotychczas zaledwie w zarodku.

Rozpocząwszy od wczesnej młodości swą pracę społeczną, Mielczarski postawił sobie za cel służenie sprawie ludowej. Widział on jasno, że lud polski, będąc potęgą, na której opiera się cały kraj, stwarzając w ciężkim trudzie najcenniejsze wartości, sam zepchnięty jest na najniższe stanowisko i pozbawiony wszystkich tych bogactw, jakie pracą swą stwarza.

„Mały zarobek, nadmierna praca, częsty brak zajęcia, tułaczka po obczyźnie, wzgarda ze strony kapitalistów, upośledzone stanowisko w życiu politycznem, niemożność kształcenia się, jednem słowem — nędza, a z nią zwyrodnienie fizyczne, oto los dzisiejszego robotnika" — w takich słowach Mielczarski charakteryzuje dolę ludu pracującego. A dalej:

„Gdy mówię *robotnicy*, nie mam bynajmniej na myśli tylko robotników fabrycznych. Jakkolwiek położenie drobnego rolnika i rzemieślnika-chałupnika wydaje się odmienne od położe-

(Dalszy ciąg na stronie 3-ej.)

(Dokończenie ze str. 2-ej.)

nia robotnika fabrycznego, zależność ich od kapitału prywatnego jest ta sama...

Robotnik fabryczny, drobny rolnik i rzemieślnik-chałupnik, należą do tego samego obozu antykapitalistycznego, nad którym panuje i który uciska kapitał prywatny. Rozumie się też samo przez się, że do tegoż antykapitalistycznego obozu należy zaliczyć proletarjat umysłowy, jakkolwiek ta grupa w swoich marzeniach — ale tylko w marzeniach — lubi zaliczać się do *„uprzywilejowanych"*.

Niezawodną drogę, która prowadzi do rozbudowy cywilizacji kraju, rozwoju kultury narodowej, podniesienia ludu pracującego do wyżyn tej kultury, stworzenia z biernej i nieszczęsnej masy tego ludu żywej, twórczej społeczności, zdolnej samej sobą władać i pracować nad pomnożeniem szczęścia i radości powszechnej — tę drogę widzi Mielczarski w kooperacji.

„Ustrój kapitalistyczny — mówi Mielczarski — ze swą cudowną techniką i bajeczną organizacją handlową wydaje się twierdzą nie do zdobycia. A jednak w tej twierdzy, zewsząd zdaje się opancerzonej, znajduje się punkt nieosłonięty, przez który łatwo można zrobić wyłom i zmusić twierdzę do kapitulacji. Tę słabą stronę kapitalizmu, która pozwoli go obalić, stanowi sprzedaż.

Zysk, ten nerw żywotny kapitalizmu, staje się możliwy tylko przez sprzedaż. Ten fakt ma nadzwyczaj doniosłe konsekwencje. Jeżeli bowiem zysk kapitału realizuje się przez sprzedaż, wynika stąd, że w ustroju kapitalistycznym istotnym panem położenia jest odbiorca towarów, jest spożywca.

Spożywca, nominalnie pan położenia, jest jednak obecnie igraszką kapitału, bo nie jest zorganizowany. Ale z chwilą, kiedy zrozumie swoją moc i zechce się zorganizować, ze sługi stanie się faktycznym panem kapitału.

Zorganizować spożywców, aby zająć w swe ręce wymianę i produkcję i tym sposobem interes prywatny podporządkować interesom publicznym, stanowi istotny cel i istotne zadanie kooperatywy spożywców."

Oto katechizm spółdzielczości Mielczarskiego, którą on uważał za najskuteczniejszy środek do wyzwolenia ludu.

Wstąpiwszy do niewielkiego grona działaczy w istniejącym wówczas legalnie Związku Towarzystw Samopomocy Społecznej, Mielczarski, wespół z Edwardem Abramowskim i innymi jeszcze w 1905 roku powołuje do życia przy tym Związku Sekcję Kooperatystyczną, przekształconą w roku następnym w samodzielne Towarzystwo Kooperatystów.

Pracując zarobkowo w założonej razem z Rafałem Korniłowiczem spółce „Uranja", mającej na celu zaopatrywanie powstających w tym czasie szkół polskich w pomoce naukowe, Mielczarski jednocześnie kieruje w podjętem przez Stanisława Wojciechowskiego wydawnictwie tygodnika „Społem" tym działem redakcji, w którym dawane są praktyczne wskazówki dla spółdzielni spożywców z dziedziny handlu i rachunkowości.

Na zwołanym przez Towarzystwo Kooperatystów w 1908 roku Pierwszym Zjeździe stowarzyszeń spożywców Mielczarski wykłada swój plan zbudowania hurtowni spółdzielczej. Plan ten zostaje całkowicie akceptowany, a do czasu wprowadzenia go w życie, jako surogat Hurtowni, Zjazd postanawia utworzyć Biuro Informacyjne, powołując na jego sekretarzy Mielczarskiego i St. Wojciechowskiego.

Opracowany przez Biuro Informacyjne projekt ustawy „Warszawskiego Związku Stowarzyszeń Spożywczych" (bo na ogólnokrajową nazwę władze carskie zgodzić się nie chciały), po dwuletniej przeszło wędrówce po kancelarjach i urzędach doczekał się wreszcie zatwierdzenia odpowiednich władz, i w dniu 1 października 1911 roku zostaje otwarta Hurtownia Związkowa, na której czele stają dyrektorzy: Romuald Mielczarski i Stanisław Wojciechowski.

Pierwszy personel Związku składał się z 8 pracowników, łącznie z dyrektorami; 4 małe pokoje przeznaczone były na biuro, a 2 pokoje i obszerne sutcryny służyły za pierwszy skład Związku, kapitał udziałowy wynosił rb. 21.000, a liczba stowarzyszeń związkowych 178.

W momencie śmierci Mielczarskiego w roku 1926, Związek obejmował 828 stowarzyszeń i zatrudniał około 400 pracowników; oprócz centrali, mieszczącej się we własnym gmachu w Warszawie, posiadał 27 oddziałów we wszystkich ważniejszych punktach kraju, 3 ajentury — w Łodzi, Gdańsku i Londynie, oraz 2 zakłady wytwórcze — fabryka mydła, pasty, gilz, tartak i t. d. w Kielcach i fabrykę cukierków we Włocławku; obrót towarowy Związku za rok 1925 wyniósł zł 41.411.773, kapitał udziałowy dosięgnął zł 620.544, a inne fundusze własne — 1.021.773 zł, nie licząc nieruchomości własnych, których wartość bilansowa na dzień 31 grudnia 1925 roku wynosiła zł 1.660.499.

Poza całym tym dorobkiem materjalnym Mielczarski pozostawił po sobie szerokie grono pracowników, wychowanych w jego szkole pracy, którzy z głębokiem umiłowaniem sprawy i gruntowną znajomością rzeczy kontynuują jego dzieło.

Utrwalona na ziemiach polskich ofiarną pracą Mielczarskiego spółdzielczość spożywców, pracując metodami postępowemi i prowadząc swe przedsiębiorstwa z uwzględnieniem zasad ekonomji, znajduje coraz żywsze zrozumienie w społeczeństwie i z roku na rok rozszerza swój stan posiadania. Rolę, jaką może ona odegrać w budowie nowego ustroju społeczno-gospodarczego, który przyjść musi na miejsce bankrutującego systemu kapitalistycznego, doceniają też nasze sfery rządowe, czemu wyraz dał w wygłoszonem na odbytej niedawno naradzie gospodarczej przemówieniu wicepremjer Kwiatkowski w następujących słowach:

„Czyż naprawdę osiągnęliśmy szczytowy rozwój w dziedzinie pracy spółdzielczej? Czyż te formy działania wyczerpały już swoje akumulatory twórczości? Zdaje mi się, że nie. Przez spotęgowanie tego ruchu, przez przywrócenie mu dawnych cech pionierskich można wydobyć na powierzchnię życia nowe siły i nowych ludzi, nowe kapitały i nowe wartości, które zbudują połączenie gospodarcze bezpośrednio między wsią i miastem, między Polską A i Polską B."

Z. Kmita.

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

CZŁOWIEK PRACY

Programy i reklama polityczna.

„Wszyscy ludzie poznają w sobie obywateli jednego państwa i czują się jednem stadem pod władzą jednego wspólnego prawa rozumu". Kto to powiedział? Czy może jeden z ojców rewolucji francuskiej? Nie, to napisał w księdze swoich rozmyślań Marek Aureljusz, cesarz rzymski. Rewolucjonistą nie był, ale przeciwnie, tradycjonalistą w najlepszem znaczeniu słowa, bo książkę swoją rozpoczyna od pochwały przodków i ustala z wdzięcznością, co od nich otrzymał w najcenniejszym spadku.

Ale Markowi Aureljuszowi łatwo było rozumować kosmopolitycznie i racjonalistycznie w czasach, gdy państwo, świat i ludzkość były synonimami. Od Hiszpanji i Brytanji po morze Kaspijskie i Persję, od dolnego biegu Renu i północnych wybrzeży morza Czarnego po dolne dorzecze Nilu w Afryce i całe północne wybrzeże afrykańskie — wszystko było rzymskie. Ten świat był państwem, a w tem państwie panował rozsądek, jak chyba nigdzie indziej i nigdy od tamtych czasów.

Kto potrafi sobie wyobrazić takie przemiany, jakie zachodziły w społecznej strukturze rzymskiej, poczynając od legendarnych królów aż po cesarstwo? Dziadek Horacego był jeszcze niewolnikiem, a Horacy był już przyjacielem cesarza. Rodzice Djoklecjana byli niewolnikami, ich zaś syn stał się panem świata, jednym z największych cesarzy rzymskich. Panowało niewolnictwo, to prawda, ale ci niewolnicy byli nietylko bici i krzyżowani, jak to sobie wyobrażamy zazwyczaj, lecz stawali się często przyjaciółmi swoich panów, a niekiedy nawet ich rzeczywistymi panami. W listach Plinjusza młodszego i w listach Cycerona łatwo doczytać się o tem, jak serdecznie umieli panowie rzymscy troszczyć się o swoich niewolników i jak opiekowali się nimi w razie choroby.

Dzisiaj na dawnem terytorjum jednego państwa rzymskiego mamy państw kilkanaście, a wszystkie one, nawet te, które nazywają się „sąsiedzkiemi i zaprzyjaźnionemi", czy nawet sojusznicze mi, nastawione są wobec siebie jeśli nie wrogo, to stanowczo nieufnie. Niema już polityki jednego cesarza, któryumiałby myśleć politycznie całemi kontynentami, ale mamy tyle „polityk", ile jest państw, a nawet partyj.

Rzecz prosta, że nie pozostaje to bez wpływu na życie i losy człowieka pracy. Europejczyk musi dzielić losy Europy, a te losy są w tej chwili smutne jakieś. Co tu dużo mówić: Europa rozłazi się moralnie, pojęcie ludzkości jest pojęciem bez pokrycia, a rywalizacja wszystkich ze wszystkimi, jest zjawiskiem stałem. Człowiek pracy siadając do śniadania, otrzymuje dziennik, z którego dowiaduje się, że wojska japońskie poraz któryś już z rzędu przekroczyły granicę sowiecką, że nad Strasburgiem widziano samoloty niemieckie, że tam i tam zostały uchwalone wielkie kredyty na zbrojenia i t. d.

I podczas gdy w jednem miejscu nadmiar towarów czy surowców wywołuje zaburzenia w życiu gospodarczem, w innem zaburzenia gospodarcze a co za tem idzie, także polityczne, wywołują brak właśnie tych towarów i surowców. Krążenie materji gospodarczej na całym świecie ulega zaburzeniom, jak krążenie krwi w organizmie ciężko schorzałym. A w takiej oto chwili, gdy człowiek pracy powinienby zabrać głos, aby powiedzieć czego chce i do czego zmierza, jest on coraz systematyczniej pozbawiany prawa głosu.

Czem się to dzieje? Już pod koniec stulecia zeszłego wybitni socjologowie zdawali sobie sprawę z faktu, że masom pracującym brak własnej arystokracji kierowniczej. Nie chodzi rzecz prosta o jakąś arystokrację przywilejów, może raczej byłaby to arystokracja zwiększonych obowiązków, ale bez niej nie istniała, istnieć nie mogła żadna wielka grupa społeczna. Miało swoją arystokrację każde państwo starożytne, nie brakło jej w Rzymie, nie obeszły się bez niej wieki średnie i czasy nowsze.

Być może iż o arystokrację robotniczą dlatego tak niesłychanie trudno, że musi ona być zasadniczo inna, niż były wszystkie dotychczasowe arystokracje. Tamte dawały przywileje jednostkom kosztem wielkiej masy, zaś arystokracja robotnicza musiałaby wziąć na siebie wielkie obowiązki bez jakichkolwiek specjalnych przywilejów. Taki był ideał teoretycznych republik starożytnych, ale republiki te pozostały utopjami, które nigdy zrealizować się nie miały.

Patrzymy na zjawisko wysoce zastanawiające. Masy robotnicze we wszystkich krajach świata cywilizowanego wydają spośród siebie niezliczonych wynalazców, odkrywców, badaczy naukowych, organizatorów życia społecznego i politycznego. Ale te zdobycze świata pracy stają się natychmiast zdobyczami kapitału. Innemi słowy: masa ludzi pracy tworzy i zdobywa nie dla siebie i nie decyduje o zdobyczach swoich rąk i swoich głów.

Jeden przykład może posłużyć za wiele. Nie było na świecie organizacji robotniczej tak świetnej i potężnej, jak w Niemczech przedwojennych demokracja socjalna i związane z nią związki zawodowe. Obaliło ją jedno dmuchnięcie organizacji nowej, która powstawała i rozwijała się pod skrzydłami rządu socjalno-demokratycznego. To samo w rozmiarach odpowiednich powtórzyło się gdzieindziej. Znakomity pisarz włoski i dyplomata z czasów przedfaszystowskich, Carlo Sforza, napisał świetny artykuł o zdradzie demokracji socjalnej.

Czy to była zdrada? Już przed wojną przywódcy socjalistów niemieckich, jak Bebel, przeceniając organizacje i tracąc z oczu jej cele, przystosowywali się do polityki cesarskiej i imperjalistycznej. Po wojnie, gdy jedni zabierali się do zrealizowania programu socjalistycznego, samiż socjaliści stanęli do walki z nimi. Powstaje więc pytanie, co wart jest program albo programy, działające najwyżej jako hasło wyborcze.

Jeden z uczonych naszych napisał ciekawą rozprawę o reklamie politycznej. Ujawnia się ona najwybitniej podczas wyborów i składa się z obietnic i z dezawuowania partyj przeciwnych. Obietnic nikt nie traktuje serjo, potępianie partyj przeciwnych jest zwykłą grą. Otóż zdaje się, że do programów mas robotniczych wchodziło dotychczas dużo nierealnego, czego nikt realizować nie myślał, a co było zawsze najwyżej przyjętą uczuciową, rodzajem romantycznego marzycielstwa.

Reklama polityczna działa, oczywiście, nietylko podczas wyborów. Nie obchodzą się bez niej nawet samowładczy dyktatorzy. Ale jak każda reklama, tak i reklama polityczna, jest bardzo kosztowna, a koszta płaci spożywca. Produkt, który do rąk spożywcy dochodzi w cenie jednego złotego, kosztuje w fabryce 10 groszy. Reszta to zysk pośredników, a przedewszystkiem koszt reklamy.

Tak jest też z programami partyj wogóle, a partyj robotniczych w szczególności. To, co masy ludu pracującego biorą za program, mający się realizować, jest w 90% reklamą polityczną. Dość przejrzeć kilka ulotek przedwyborczych, aby się o tem przekonać. Ale pojęcie okresu przedwyborczego jest elastyczniejsze, niż się nagół mniema. Dla pewnych partyj i pewnych władców okres ten trwa stale, a ich prasa jest permanentną agitacją i reklamą polityczną.

Człowiek pracy musi oderwać się od mistycyzmu i romantyzmu programów utopijnych. Trzeba rewidować dążenia i stwarzać tylko takie cele, które mogą być realizowane w czasie mniej więcej wymiernym. Wówczas polityka rzesz pracy stanie się realną i odniesie korzyści tej polityki. W dotychczasowych programach partyj organizujących ludzi pracy było zbyt wiele elementu nierealnego. Reklama polityczno - społeczna nie może być nigdy realnym programem.

Paweł Hulka-Laskowski.

PROGRAM DZIESIĘCIOLECIA POLSKIEGO RADJA

W połowie kwietnia Polskie Radjo obchodzić będzie dziesięciolecie swego istnienia. W związku z tą rocznicą radjofonja polska przygotowuje specjalny program.

W układaniu tego programu kierowało się radjo nietylko względami programowemi, ale chciało również przez odpowiedni dobór i układ audycyj uwypuklić rolę, jaką spełniała radjofonja w Polsce w ciągu dziesięciu lat.

Specjalną uwagę zwrócić należy na postanowienie radja, które zdecydowało się w ciągu tygodnia dziesięciolecia Polskiego Radja nadawać tylko utwory kompozytorów polskich, a ilość płyt gramofonowych w programie ograniczyć do minimum.

Pośmiertne wyróżnienie

ś. p. Cezarego Jellenty

W numerze 10-tym „Echa Społecznego" z października r. ub. zamieściliśmy wspomnienie pośmiertne o ś. p. Cezarym Jellencie, wybitnym literacie i historyku kultury polskiej, którego prace o głębokiej treści i pięknej formie drukowane były również na łamach naszego wydawnictwa.

Obecnie pragniemy podać do wiadomości naszych czytelników, którzy zawsze chętnie czytali utwory Zmarłego w „Echu Społecznem", że Pan Prezydent Rzeczypospolitej nadał w dniu 19 marca r. b. ś. p. Cezaremu Jellencie, krytykowi literackiemu, Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski za zasługi na polu pracy literackiej.

Jednostka w życiu zbiorowem

Spostrzeżenia socjologów, badających oblicze zbiorowych organizmów, wykazały, że podstawową czynnością umysłu człowieka społecznego jest wartościowanie. Człowiek wartościuje otaczające go zjawiska i wydaje o nich sąd, będący motorem jego postępowania czy obrazem skrystalizowanej myśli.

Tu leży właściwa naturze ludzkiej skłonność egoistyczna, wyprowadzająca mniej lub więcej świadomie oświetlenie tych czy innych spraw ze swojego wyłącznie, subjektywnego — a więc zawsze — stronniczego — punktu widzenia.

„Dobre bogi" jednak sprawiły, że w ramach przyrodzonego i naturalnego człowiekowi życia organizacyjnego te elementy egoistyczne tracą na sile. W tym pozornie prostym i błyskawicznym akcie, jakim jest wartościowanie (a więc zdanie sobie sprawy z danego faktu) coraz silniejszym akordem grać poczyna element dobra zbiorowego. W jednostce buduje się poczucie hierarchii zadań i celów, poczucie, rzeźbiące u szczytu jego rozwoju — bohaterstwo narodów, albo też sprzedajność i pustkę ideową — u zaniku tego poczucia.

W miarę więc powstawania życia organizacyjnego bogaty proces wartościowania opiera się coraz mocniej o sprawdzian słuszny: sprawdzian dobra powszechnego.

Egoizm jednostki odsuwa się w cień. Do pracy staje człowiek społeczny, który w pełni chwały swego człowieczeństwa podejmuje trud dla zbiorowości.

Po wielkiej rewolucji francuskiej na dwóch przeciwległych sobie krańcach stanęły dwa czynniki: jednostka, wolna aż do anarchji, niezależna aż do bezładu — z jednej strony, z drugiej strony — „wróg" człowieka — państwo.

Dziś jesteśmy świadkami wyraźnego głębokiego przewrotu w dziedzinie pojęć społecznych. Dziś nie widzimy w społeczności i jej ramach organizacyjnych, krępujących naszą wolność osobistą, klatek. Przeciwnie — każdy: bogaty, biedny, silny, słaby, zrzesza się, by w zbiorowem a jednolitem działaniu starać się o swoje sprawy.

Zrzesza się i cały świat pracy w związkach zawodowych, które stają się dla każdego pracownika czemś bliskiem, swojem, a nawet poprostu — drogiem. Jak państwo jest formą, w której organizuje się dany naród, czy społeczeństwo, tak nasze związki zawodowe są najdoskonalszem dotychczas narzędziem, dzięki któremu świat pracy materjalizuje swoją wolę, walcząc solidarnie w zgodnej i jednolitej akcji o swoje prawa.

I ten właściwy naturze ludzkiej instynkt życia zbiorowego, instynkt samoobrony słabych przed przemocą, każe jasno patrzyć w przyszłość. Trzeba tylko zmienić nastawienie jednostki do społeczności, często wadliwe, a tak bardzo szkodliwe dla całości.

Należy wierzyć w ludzkość. Widzieć społeczność zorganizowaną na drodze do powszechnego dobra — ideału życia społecznego.

A tym ideałem jest praktyka miłości w życiu społecznem. Mistycyzm? Marzycielstwo? Nie. Przez te wyrazy, nieznane suchej formule ustrojowej, rozumieć trzeba zjawisko zupełnie konkretne, łatwo uchwytne. Więcej nawet: konkretność tego zjawiska trzeba nietylko umieć wytłumaczyć, ale potrafić ją narzucić jednostkom i masom.

Filozofja społeczna prowadzi nie od pierwotnych przyrodzonych praw jednostki, nie od przyrodzonych wolności do wyrzeczeń i skrępowań, wytworzonych przez umowę społeczną, ale wręcz odwrotnie — od pierwotnego niewolnictwa do stopniowego wyzwalania się człowieka, do wytwarzania liberalnych praw subjektywnych, a w konsekwencji „do socjalizacji życia społecznego".

Tak więc dochodzi się do ciekawych i doniosłych wniosków, które w odniesieniu do organizacji państwowej brzmią jak następuje:

„Państwo staje się stopniowo organizacją służby społecznej, władza państwowa jest władzą służebną w stosunku do zadań życia społecznego, a ostatecznym tego życia ideałem jest praktyka czynnej miłości pomiędzy ludźmi".

W piękne słowa ujęta ta piękna myśl ustrojowa podchwycona została przez teorję i praktykę na całym niemal kontynencie.

Odnieść ją możemy również i do najbliższego nam życia organizacyjnego, do naszego życia związkowego, gdzie związek zawodowy jest organizacją służby społecznej świata pracy, gdzie władza związkowa jest władzą służebną w stosunku do zadań i celów ludzi pracy.

U genezy związku zawodowego leżała zasada harmonji i zaufania. I ta harmonja i to zaufanie jednostki do społeczności jest dźwignią życia społecznego.

Stąd więc najistotniejszym momentem jest ustalenie odpowiedzi na zasadnicze pytanie: jakim powinien być stosunek jednostki do zbiorowości. Idąc śladem naszego uczonego Petrażyckiego musimy uwypuklić jeden wyraz spośród teorji tego wielkiego uczonego: miłość.

W życiu zbiorowem wyraz ten nie inaczej mamy prawo tłumaczyć jak przez harmonję, nierozerwalną solidarnością.

Chodzi więc teraz o sharmonizowanie jednostki ze społecznością (nietylko — państwową!) Chodzi o scalenie rozbitych jednostek (ja, ty, on) w jeden organizm zbiorowy (my).

A pamiętać należy, że ta całość, którą chętnie nazywamy krótkiem, lecz jak charakterystycznem dla istoty sprawy — słowem: **my**, że ta całość nie jest tylko mechanicznem zsumowaniem rozproszonych części, takich, jak: ja, ty, on, lecz jest czemś więcej niż przymusowa koordynacja społecznych interesów; jest to całość związana, pozytywną wolą wspólnego działania.

I dlatego to panować poczyna pewnik, że w każdym stosunku, społecznym, polegającym na wzajemnej zależności i wzajemnem oddziaływaniu, grają rolę nietylko prądy egoistyczne i odśrodkowe, łamiące wolę zbiorową, ale nadewszystko widzimy tam niezaprzeczalne działanie prądów społecznych i dośrodkowych, opartych na harmonji, solidarności, wzajemnej ufności i gotowości pomocy.

To ma być ta siła społeczna, wiążąca zbiorowość.

Ideałem życia zbiorowego nie może być egoizm i walka jednostki przeciw jednostce lub podstępna gra jednej organizacji przeciwko drugiej.

Jednostka, żyjąca w społeczeństwie państwowo zorganizowanem, a biorąca udział w życiu organizacyjnem takich czy innych ciał zbiorowych, winna sobie zdać sprawę z tego, że tym potężnym czynnikiem dźwigającym i budującym życie organizacyjne jest solidarność społeczna. Ona postuluje w kategorycznym nakazie naturalną koordynację organizacyjną jednostek. **Tę solidarność społeczną, tkwiącą w duszy każdego człowieka społecznego, trzeba tylko chcieć wydobyć spod zasłony egoizmu i wiecznego niezadowolenia.**

T. J. O.

RYSZARD KARNICKI

Inwestycje państwowe i rezerwy instytucji ubezpieczeń społecznych

Z pojęciem inwestycji publicznych, podejmowanych lub tylko inicjowanych przez państwo, łączy się w opinji publicznej nieodzowna w tym wypadku asocjacja pojęć, będąca zazwyczaj obciążeniem niepomiernem tematu. Odrazu, niejako automatycznie, nasuwają się porównania z gigantycznemi robotami publicznemi w innych krajach. Włochy faszystowskie, Niemcy hitlerowskie, druga „pięciolatka" sowiecka, olbrzymie w zakresie i doniosłości inwestycje amerykańskie — wszystko to wytwarza bądź uprzedzenie, bądź stosunek przyjazny do tematu. Gdy więc sprawa schodzi na kwestje inwestycji publicznych w Polsce, powstaje odrazu zagadnienie, czy aby projekty, związane z uruchomieniem robót publicznych, nie łączą się z apokaliptycznem „nakręcaniem konjunktury", które ma u nas złą markę...

Zaznaczamy więc, że rząd nasz o nakręcaniu konjunktury nie myśli, że trwa przy programie deflacji i nienaruszalności waluty, jako przy dwóch kanonach polityki gospodarczej. Ale polityka deflacyjna bynajmniej nie może oznaczać, że rząd zamierza przyglądać się bezczynnie zamieraniu obrotów i dopuścić do cofania się naszej aktywności gospodarczej z wszystkiemi stąd płynącemi **konsekwencjami socjalnemi, politycznemi, państwowemi.** Mówiąc krótko: obrona trwałości i nienaruszalności waluty — to, że rząd nasz i Bank Polski przy tej zasadzie trwają, tego nie trzeba powtarzać — prowadzi w prostej linji do polityki deflacji czyli niższych cen, tańszej produkcji, ale bynajmniej nie może być utożsamiana z niepodejmowaniem akcji, która wprowadza nieodzowną korektę do charakteru gospodarczego naszego budżetu państwowego, tak nieproporcjonalnie obciążanego wydatkami konsumcyjnemi, a tak mało mającego wydatków o charakterze inwestycyjnym.

Inwestycje, które rząd podejmuje wczesną wiosną, nie będą nakręcaniem konjunktury. Cokolwiek powiedzą na to przeciwnicy inwestycji publicznych z zamiarem ożywienia życia gospodarczego i zmniejszenia — choćby przejściowo rozmiarów bezrobocia — nie możemy się zgodzić z poglądem, że skromny plan inwestycji, z jakim rząd wystąpił na kwotę 223 miljonów złotych, można wogóle uważać za jakąś próbę „nakręcania konjunktury" w Polsce.

Wykażemy w dalszych naszych wywodach, analizując zgrubsza poszczególne pozycje wydatków, że plan inwestycyjny rządu jest wszystkiem innem, tylko właśnie nie próbą „nakręcania". Stanowi on raczej nieśmiałą próbę skromnego wyrównania tych przymusowych i sztucznych norm gospodarczych, które w okresie kryzysu zmuszają nas do przejadania dużych pozycji budżetowych w działach wydatków t. zw. „sztywnych", których ani znieść ani zmniejszyć nie można.

Na nasz rozum, program inwestycji, które określono mianem „pozabudżetowych", a które w dużej mierze stanowią tylko inwestycje — po to właśnie wyodrębnione z formalnych wydatków budżetu, aby ich wykonanie nie było uzależnione od rozwoju sytuacji budżetowej państwa. Sprowadzając rzecz do właściwych rozmiarów, należy stwierdzić, że z wyjątkiem kredytów, które Bank Gospodarstwa Krajowego uruchomi w wysokości 38 miljonów na rzecz popierania prywatnego i współdzielczego ruchu budowlanego, pozycje przewidziane w planie inwestycyjnym pozabudżetowym stanowią właściwie **budżet wydatków nadzwyczajnych na inwestycje.** Uczyniwszy tę uwagę natury formalnej, powróćmy do kapitalnego zagadnienia, a mianowicie: czy ustalona przez rząd kwota, przeznaczona na inwestycje jest istotnie wystarczająca? Odpowiedź na to pytanie będzie — bo musi być — przecząca. Ogrom zaniedbania, zacofanie nasze w dziedzinie budowy dróg, kolei, budownictwa (choć by szkolnego!), kompletny prawie zanik postępu w doniosłej pod względem bezpieczeństwa państwa i postępu cywilizacyjnego elektryfikacji — wszystko to przemawia za **koniecznością znacznie większych, wielokrotnie większych sum.** Że czynniki rządowe są tegoż zdania, o tem najlepiej świadczy fakt, ujawniony niedawno temu przez powołanego przedstawiciela rządu na konferencji z przedstawicielami prasy, że istnieją plany inwestycyjne na kwoty znacznie wyższe, a mianowicie na kwotę 400 miljonów złotych, 800 milj. zł., a nawet miljarda złotych. Tegoroczny plan inwestycyjny został więc przykrojony wedle możliwości finansowych, które rząd widzi jako realne. Pociesząjące w nastawieniu czynników rządowych jest to, że pragną one rozszerzyć „wachlarz" wydatków na cele inwestycyjne w miarę tego, jak układać się będą stosunki finansowe i możliwości skarbu państwa, w wyniku dalszych zabiegów o uruchomienie środków i kredytów **na ten cel.**

Z punktu widzenia interesów kraju to dążenie do inwestycji publicznych jest pozytywne, godne poparcia i powinno spotkać się z aprobatą uświadomionego społecznie ogółu. Skoro bowiem nie widać jeszcze końca kryzysu, a więc i wzrostu zatrudnienia, a narazie inicjatywa prywatna nie jest jeszcze należycie pobudzona — czyż można mieć za złe rządowi, że próbuje ożywić konjunkturę, że wkracza na drogę inwestycji, które mogą w rezultacie pociągnąć za sobą ożywienie produkcji?

Min. Kwiatkowski uczynił kanon z tego, że państwo nie będzie ogałacało narastającej kapitalizacji naszego rynku finansowego dla swoich potrzeb budżetowych. Skoro więc pozostawi ten rynek w spokoju — może istotnie zarysują się możliwości wyzyskania go przez inicjatywę prywatną dla kredytowania inwestycji? Rząd nasz, nprz. sądzi, opierając się tu na doświadczeniach lat ostatnich, że kredyt budowlany, udzielony przez BGK „wyzwala", to znaczy wyprowadza z ukrycia i wprzęga w rydwan obrotu, kwotę trzykrotnie większą od łącznej sumy udzielonych kredytów budowlanych. Znaczyłoby to, że inicjatywa prywatna ulokuje w tym roku przeszło 100 miljonów złotych w ruchu budowlanym. Coprawda nie można budownictwa prywatnego w żadnym wypadku podciągnąć pod określenie inwestycji publicznych, ale gdy chodzi o usunięcie wielu jaskrawych braków i niedomagań — nikt nie będzie się upierał, aby wszystko zostało złożone na barki państwa. Jeśli prywatny kapitalista i człowiek średniozamożny lokuje swe kapitały i oszczędności w budownictwie, tem lepiej! Boć chodzi przecież o to, aby wzrastało zatrudnienie, aby była praca i aby z tego wpływały podatki.

**

Z tego, cośmy wyżej rzekli, wypływa, że **uważamy roboty publiczne w Polsce za nieodzowne**, że nie przestrasza nas widmo „nakręcania konjunktury" przez rząd, bo cały plan tych inwestycji jest tak skromny, że powiększenie go kilkakrotne jeszcze nie równało się u nas „nakręcaniu" konjunktury w tym sensie, jak to zostało przeprowadzone i jest nadal praktykowane w innych krajach. **Plan rządowy inwestycji uważamy za zbyt skromny**, niewystarczający, bo nie może zaspokoić wielu doniosłych potrzeb państwowych o pierwszorzędnem znaczeniu. Pozatem nie może on wpłynąć decydująco — jak np. w Niemczech — na znaczne, radykalne zmniejszenie bezrobocia i powiększenie przez to zapotrzebowania na wiele towarów na rynku wewnętrznym. Rząd ma na wszystkie tego rodzaju uwagi odpowiedź przekonywującą: brak środków. Wiemy jednak, że min. Kwiatkowski jest zwolennikiem oryginalnego i niepozbawionego słuszności planu: przemysł krajowy, eksportujący zagranicę po cenach konkurencyjnych, powinien zbadać, czy nie opłaci mu się zastosować tej samej metody sprzedaży dla własnego państwa, które stwarza w ten sposób **dodatkową konjunkturę**, albowiem bez uzyskania ulgowych, stosowanych wobec zagranicy cen, państwo nie będzie podejmowało dodatkowych robót?

Gdy się tę myśl pogłębia, otrzymujemy stan taki: nasze huty naprz. chętnie udzielą rządowi sowieckiemu kredytu, gwarantowanego — dodajmy — przez państwowe instytucje bankowe — przy zamówieniach na szyny kolejowe, które przecież mogą być ułożone na linjach strategicznych. Otóż, jeżeli własne państwo zechce wykonać plan budowy linji kolejowych, którym objęte będą roboty, w budżecie danego roku nieprzewidziane, **to czyż te inwestycje krajowe mogą i powinny być traktowane przez przemysł krajowy gorzej, niż nprz. zamówienia sowieckie?**

(Dalszy ciąg na str. 5-tej.)

JÓZEF CZYŚCIECKI.

Eteryczna problematyka

Do domu pewnej rodziny pracowniczej, spowodu redukcji poborów ojca, wkradła się bieda. Dwie małoletnie córeczki znoszą ją z właściwą dzieciom odpornością psychiczną, ale trzecia córka, dorosła, 19-letnia Antosia, która właśnie po skończeniu gimnazjum i jakichś kursów wiedzy biurowej wróciła do domu, jest bardzo rozżalona na los i chce z nim walczyć. Postanawia szukać pracy, aby być nietylko podporą rodziny, ale przedewszystkiem, aby mieć własne pieniądze, aby pokazać co umie i wogóle, aby się nie zmarnować. Takie samo postanowienie, dyktowane wyłącznie względami na dobro rodziny, powzięła matka, której rzeczywiście udało się uzyskać od przyjaciela męża, dyrektora banku, przyrzeczenie przyjęcia jej do pracy za wynagrodzeniem naprawdę na dzisiejsze stosunki niemałem, zwłaszcza jeżeli się zważy na brak specjalnych kwalifikacyj kandydatki, bo wynoszącem 300 zł. miesięcznie. Córeczka, dowiedziawszy się o tem od matki, poszła bez jej upoważnienia do dyrektora, aby go prosić o cofnięcie danego matce przyrzeczenia i przyznanie posady jej, jako że jest zdrowsza, zdolniejsza, ma lepsze kwalifikacje i że starzy powinni ustąpić młodym. Dyrektor, gentleman, nie godzi się na cofnięcie danego słowa. Trzeba jednak pecha, że w czasie rozmowy przychodzi matka i między paniami wywiązuje się gwałtowna sprzeczka o posadę, w rezultacie której matka policzkuje córkę, a córka zmusza matkę do przeproszenia, rzucając ją siłą przed sobą na kolana. Potem, żałując tego postępku, popełnia nieudany zamach samobójczy. A gdy dyrektor, wzięty jej urodą i bujnością psychiczną prosi — ku radości matki — Antosię o rękę, ta go wyśmiewa, twierdząc, że nie ma zamiaru oddawać się starszemu panu na utrzymanie, co znowu tak ujmuje szlachetnego dyrektora, że przyrzeka dzielnej osóbce wystaranie się w ciągu miesiąca o posadę.

Taka jest — podana w przeraźliwie prymitywnym skrócie — treść ciekawego słuchowiska pisarki, Marji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, p. t. „Biedna Młodość", nadawanego przez „Polskie Radjo" dwukrotnie: w dniu 2 stycznia i 2 lutego b. r. Słuchowisko to wywołało ponoć głośny oddźwięk ze strony radjosłuchaczy, wskutek czego tygodnik „Antena" wprowadził na wokandę „Sprawę Antosi", drukując przemówienia prokuratora i obrońcy, oraz odwołując się do czytelników, stanowiących „ławę przysięgłych", o wyrażenie opinji w sprawie.

Żywość reakcji radjosłuchaczy świadczy o tem, że tematyka słuchowiska dotknęła zagadnienia interesującego szeroki ogół. Jakież to zagadnienie? Zdawałoby się, że sprawa jest prosta. Bezrobocie młodzieży — oto punkt centralny zainteresowania społecznego słuchowiska. Niewątpliwie. — Ale, niestety, osią dyskusji stała się raczej kwestja moralna i obyczajowa. Pytania „Anteny", skierowane do czytelniczej ławy przysięgłych, idą w kierunku ustalenia: 1) czy oskarżona Antosia jest winna przestępstwa podstępnych prób zdobycia obiecanej swej matce posady i 2) czy oskarżona jest winna przestępstwa przemocy fizycznej nad matką?

Czyż to są najważniejsze sprawy, wokół których należy organizować dyskusję? Twierdzę, że nie. Spoliczkowanie córki przez matkę i brutalny odwet córki — to sprawa prywatna tych pań.

Nie da się zaprzeczyć, że słuchowisko Pawlikowskiej bardzo delikatnie i nieśmiało dotyka tej zbrodni współczesnego świata, jaką jest bezrobocie. Byłoby przesadą doszukiwać się w tej niewinnej i grzecznej społecznie sztuce jakichś akcentów bojowych i tendencyj do demaskowania istotnych przyczyn, które rodzą tragedje nie jednej, ale tysięcy Antoś.

Mimo to — **nie** dotykając zresztą zupełnie artystycznej strony słuchowiska — trzeba przyznać, że jako materjał do dyskusji „Biedna młodość" daje duże możliwości zwrócenia uwagi społecznej na klęskę bezrobocia, do której, niestety, za bardzo się przyzwyczajamy. Zatracamy wrażliwość i tępiejemy tak dalece, że obojętnie patrzymy na wszystko, co do wzmożenia tej klęski się przyczynia. Przecież każdy **wie, że możliwości produkcyjne i konsumcyjne** człowieka są niemal nieograniczone, **zjawisko bezrobocia jest zatem nonsensem, wynikającym ze złej organizacji społecznej.** Ale społeczeństwo nie ma dość siły i odwagi, aby dostatecznie jasno uświadomić sobie istotną przyczynę bezrobocia. Traktuje je jako jakąś bestję apokaliptyczną, przed którą można się tylko bronić modlitwą — przetrwania i pokutą — zaciskania pasa. To też biernie się patrzy na przedłużanie czasu pracy, na zatrudnianie pracowników w godzinach nadliczbowych, na skracanie urlopów, na podnoszenie okresów wysługi emerytalnej itd. itd. Uczeni stwierdzają, że przy obecnym stanie techniki możnaby wyprodukować dostateczną ilość dóbr dla wszystkich przy zatrudnianiu każdego człowieka w procesie produkcyjnym przez 4—6 godzin na dobę, ale my tolerujemy stan rzeczy, przy którym część ludzi pracuje po 12 godzin dziennie, a reszta leży do góry brzuchem i przymiera głodem.

Bardzo to ładnie, że „Antena" uczyniła „Sprawę Antosi" przedmiotem dyskusji publicznej. Ale nie trzeba dyskusji sprowadzać na fałszywe tory. Sztuka Pawlikowskiej, przeszedłszy **dwukrotnie** przez fale eteru, nie zeteryzowała przez to zawartego w sobie problemu. On tkwi silnie przy ziemi i w dyskusji na temat słuchowiska nie trzeba od niego uciekać w sferę ciekawych może, ale drugorzędnych, spraw prywatnych i osobistych.

Przestępstwem, o ktorem warto mówić, które zasługuje na dyskusję społeczną, jest w sztuce radjowej Pawlikowskiej bezrobocie. To jest ta ohydna zbrodnia, która codziennie stale, w sposób okrutny i wyrafinowany morduje na całym świecie, torturując głodem i chłodem, miljony ludzi starych i młodych. To jest ta zbrodnia, która zabija człowieka i w fizycznem i w moralnem znaczeniu.

Ale zbrodni sądzić nie można, bo jest ona tylko objawem, skutkiem. Trzeba sądzić i karać zbrodniarza. Kto on? Nie mówi nam tego ani sztuka Pawlikowskiej, ani „Antena".

Mamy więc ofiary, mamy przestępstwo, ale nie znamy winnego.

Słuchowisko zasługuje na to, aby zamiast eterycznej problematyki postawić radjosłuchaczom jako przedmiot dyskusji jasne i proste **pytanie:**

Kto jest winnym zbrodni bezrobocia?

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

Nad miską zupy

Więc jednak **zawsze w bocznej** ulicy?

Zdawałoby się, że kwestja prawa kobiet do pracy zarobkowej jest już tak wszechstronnie oświetlona, obgadana doszczętnie i odważona na wszelkich wagach sprawiedliwości społecznej — że wreszcie można będzie przestać o niej mówić jako o czemś spornem i drażniącem. Skoro zaś i kongresy pracownicze znalazły właściwe słowo, powzięły uchwały i rezolucje, wypowiadając się przeciw redukcjom pracownic zamężnych, a za prawem kobiet do pracy zarobkowej bez innych ograniczeń, jak kwalifikacje fachowe i pożyteczność w pracy — zdawałoby się, że wśród pracowników samych rzecz jest załatwiona.

Tymczasem nawet w „Echu Społecznem" znajdujemy oddźwięk dysonansów, które panują pod tym względem wśród świata pracowniczego. Wytoczono tam (nr. 6 z 15. III.) w dwu miejscach kwestję „redukcji mężatek" i to z tendencją zepchnięcia jej w boczną ulicę.

Jeżeli już „zasadniczo — tak", to zawsze znajdują się argumenty, by kobietom, a naprzód tym, „upośledzonym przez małżeństwo", wytłomaczyć grzecznie nawet i życzliwie, że — mimo wszystko — jeżeli nawet mają te prawa, jakich zakwestjonować nie wypada, to jednak same powinnyby rozumieć, że z praw tych nie przystoi im korzystać, że nie należy, że to nawet niezbyt moralne. Zawsze znajdą się argumenty sezonowe, kryzysowe, humanitarne, patrjotyczne, służące ku temu, by zepchnąć kobiety do bocznej ulicy. Więc i teraz namawia się je, by same rezygnowały z pracy zarobkowej, zwłaszcza, gdy są pracownicami dobrze zarabiającemi, z cenzusem wykształcenia. Cóż dziwnego, że ktoś inny wolałby zająć ich miejsce...

Robotnic się nie przekonuje, że *muszą* pracować, bo są tańsze, niż mężczyźni.

Kronikarz spraw pracowniczych w „Echu" wybrał sobie obrazowy symbol miski z zupą. Na tym przykładzie wyjaśnia zasady moralności pracowniczej na użytek koleżanek zamężnych: niekażdy ma dziś miskę zupy, minimum egzystencji — oddaj więc, kobieto zamężna, swoją miskę, boć nie trzeba jeść za wiele, nawet to grozi niestrawnością.

Jest tu mała pomyłka w adresie — czemuż autor nie zwraca się do tych, co wydzielają miski i zupę? Dlaczego ma pretensje do współtowarzyszek niedoli, nie zaś do sprawców niedoli?

Konkluzja całego wywodu jest niespodziewana: „kobiety zamężne... winny poszukiwać dla siebie dodatkowej pracy zarobkowej — w razie konieczności jej wykonywania — na wolnym rynku, nie na posadach".

Jest to już jasno sprecyzowane: posady. Posady — jakieś „tabu".

Posady — rzecz wygodniejsza, czasem wiodąca do karjery, dająca pewne podstawy trwałości, ustalenia budżetu — więc posady — dla mężczyzn. Kobiety — na „wolny rynek pracy", bo tam trudniej, tam niebezpieczniej, tam trzeba borykać się o wiele zażarciej, tam niepewne jest biurko przy ciepłym piecu, tam nie wolno nawet śnić o emeryturze.

Zdawałoby się, że z dwojga ludzi, to właśnie mężczyzna, ten silny, ten z mocnemi łokciami — powinien wyjść „na wolny rynek" zamiast wysyłać swoją współtowarzyszkę, narażać ją na hazardy i fatygi, na niebezpieczeństwa.

I doprawdy — że mężczyzna licytuje się tu z kobietą o bardzo niewiele. O bardzo chudą porcję zupy mu chodzi! To urzędnicze krzesełko, ta posada kobieca, to przecie, w olbrzymiej większości wypadków — zaledwie posadka, najmarniejsza egzystencja, 200-złotowe stanowisko. Do wyjątków — którym się zazdrości i które uważa się za szczególnie uprzywilejowane należą kobiety na stanowiskach kierowniczych. Zniknęły już bodaj nieliczne naczelniczki wydziałów, a z referentek pozostały tylko cienie. Zażartość i zawiść jest jednak taka, że słowo „posada" ma magiczny blask: niech będzie bylejaka, lecz posada. Lęk przed hazardem, niedołęstwo i brak twórczego stosunku do życia i pracy wyładowują się w tych rekryminacjach przeciw zajmowaniu posad przez kobiety.

Posadomanja, szukająca sobie ujścia w ataku na koleżanki zamężne, jest czemś, co jednak może doprowadzić do niespodziewanych efektów. Może poprostu wytworzyć w szeregach pracowników przewagę typów męskich z pozoru, lecz biernych, słabych, lękliwych, bez inicjatywy, z drugiej zaś strony pomnożyć zastępy kobiet dzielnych, energicznych, dających sobie świetnie radę na „wolnym rynku". Nie umiem powiedzieć, czy dla dobra rasy to jest pożądane, ale widzi się już niemało u nas przykładów takiego rodzaju. Słyszy się też wśród kobiet samych wezwania do rzucania biur z ich nędzą i bylejakiemi posadami, a zwrócenia się do wytwórczości przemysłowej, artystycznej, do handlu.

Jednostki bardziej przedsiębiorcze pójdą tą drogą, wybierając hazard i borykanie się, lecz i perspektywy dobrych zarobków i bytu bardziej niezależnego. To jest jedna możliwość, otwarta zresztą raczej dla kobiet młodych i wolnych, niż dla zamężnych i już pracujących na posadach. Druga zaś możliwość — ta właśnie, której się domaga kronikarz rubryki pracowniczej w „Echu" — to, że np. chemiczka, mająca wypadkiem posadę i męża, zacznie robić guziki na wolnym rynku (może zrobić majątek i rzucić męża z posadą), albo rutynowana buchalterka otworzy mleczarnię. Można i tak — ale, jaki w tem ma być sens gospodarczy i społeczny? Jaka gospodarka siłami ludzkiemi i jaki użytek z rezerwoaru fachowców, których nie mamy chyba w Polsce za dużo?

Nie poruszajmy argumentów feministycznych, ani równouprawnieniowych. Kto ich nie może pojąć, kto nie uporał się ze swymi poglądami na współczesność, kogo poszanowania dla kobiety nie nauczył ojciec i matka, ani szkoła, ani żona, ani koleżanki (bo to jest kwestja szacunku, nie dreptanie salonowe i ustępowanie miejsca w tramwaju ładnej kobiecie) — tego nie wychowamy, ani nie nawrócimy tutaj.

W istocie rzeczy, nie chodzi nawet o feminizm, ani o równouprawnienie. Z kwestją redukcji kobiet zamężnych, związano przecież i kumulację posad i podwójne zarobki emerytów. Czemuż nie dodać do tego i zamożnych synków burżuazji i starszych panów zasiadających w 8-miu naraz radach nadzorczych? O redukcji tych dwu ostatnich kategoryj ani się nie myśli, bo to są ci „możni", niejako zzewnątrz, obcy — świat pracowniczy zaś woli się rozprawiać sam z sobą, sam ze sobą — najbiedniejsi z najbiedniejszymi — prawować się o ochłapy. A teraz, domagać się od swoich coraz dalszego niszczenia samych siebie, ustępowania z placu boju, okrawania i tak skąpego bochenka chleba, czy wylewania cienkiej porcji zupki. Dokąd zmierzamy?

Jakimś owczym pędem, skoro raz dano hasło „równania w dół", in minus, lecimy na oślep wdół, choć najwyższy czas już zatrzymać się i odwrócić ten samobójczy bieg.

Zamiast wołać o wyrzekanie się pracy (zarobkowej naturalnie) — wołajmy o tworzenie pracy. Jest jej aż nadto wiele u nas, jest nienasycona ilość potrzeb, wrecz olbrzymia. Potrzeb gospodarczych i kulturalnych, mnóstwo rzeczy, które trzeba zrobić koniecznie. Wołajmy o uruchomienie środków do pracy, o tworzenie najpilniejszych warsztatów pracy, o wydobywanie na nie pieniędzy i zasobów z tych źródeł, jakie istnieją, a otworzy się niejedna możliwość.

Twórzmy pracę, twórzmy zatrudnienie produkcyjne i potrzebne gospodarczo i kulturalnie. Im więcej ludzi pracuje, tem więcej nowych możliwości pracy. Każdy nowowstępujący do warsztatu pracy, daje innym obok siebie zarobki. Każdy, kto jest usunięty od warsztatu pracy, czyni wyrwę niejednostkową, lecz odbiera także pracę innym naokoło. To są przecie truizmy — dlaczego tak trudno wbić je w głowy?

Nie wołajmy o ograniczenie prawa do pracy — dla kogokolwiekbądź, mającego kwalifikacje fachowe i moralne, lecz wołajmy o sprawiedliwszy podział społeczny dochodów! O inny system opodatkowań, o rozszerzenie zatrudnienia, o skrócenie czasu pracy. To są postulaty, jakie powinny wychodzić ze sfer pracowniczych.

Zamiast wypierania z posad jednych przez drugich, często przy pomocy skomplikowanych manewrów i strategji „okrążania kolegi-pracownika", możnaby się zmobilizować w celu przeciwstawienia się dobrobytom i zbytkom niezapracowanym, przeciw panoszeniu się dziedziczenia, kamienicznictwa, pasożytnictwa wszelkiego gatunku. To byłoby stanowisko, zrozumiałe w sferach pracowniczych.

Walczyć z nieróbstwem, z wstydzeniem się pracy, z gloryfikacją i przywilejami dla ludzi, obchodzących się nieraz całe życie bez pracy własnej — to byłoby moralne prawo sfer pracowniczych. Ale nie do pojęcia jest namawianie ludzi pracy przez ludzi pracy do rezygnowania z pracy..

Jest to — chyba tylko — zamroczenie „równaniem w dół" — zapędzenie się na nietwórczą glebę rezygnacji, niemal rozpaczliwe kurcze nad miską chudej zupy. Możeby jednak zdobyć się na „męski" gest, nawet na zmianę drogi? Przełamać w

(Dalszy ciąg na stronie 6-tej.)

JAN LORENTOWICZ

Teatr na dawnej Litwie

(dokończenie)

Wpływy kulturalne teatrów magnackich na Litwie były bardzo wątłe, gdyż teatry te, przeznaczone dla garstki wybrańców, stanowiły jedynie kosztowną rozrywkę wielkopańską, zrzadka zresztą stosowaną. Mozolne poszukiwania archiwalne nie zdołały nawet odtworzyć całokształtu sprawy. Niepodobna również przywiązywać wagi do jezuickich teatrów szkolnych, bo te niewiele miały wspólnego z istotą teatru, a celem ich było ćwiczenie młodzieży w dyskursie łacińskim. Bardzo rzadko ojcowie jezuici pisywali „sztuki" polskie, a wartość ich nie była lepsza od jezuickich djalogów łacińskich. Już w r. 1574 powstał teatr jezuicki w Wilnie, a potem założono na Litwie dziesięć innych: w Pińsku, Krożach, Nowogródku, Kownie, Mińsku, Słucku, Nieświeżu, Połocku, Witebsku i Słonimie. Na schyłku istnienia zakonu Jezuitów zjawiają się teatry pijarskie i bazyljańskie, które łamią starą rutynę jezuicką. W roku 1775 i w latach następnych — w Wilnie i Grodnie, na popisach szkolnych, grywa się przykrojone „odpowiednio" fragmenty Moliera i Woltera.

Niebawem Wilno zatroszczy się o własny teatr publiczny. Miasto było nie o wiele mniejsze od Warszawy, a sejmiki, jarmarki, kontrakty, sądy trybunalskie ściągały obywatelstwo i kupców z dalszych krańców dzielnicy. Pewien ruch umysłowy wytwarzała także Szkoła Główna. To też zjeżdżają do Wilna wędrowne trupy aktorów od r. 1775 i mile są przyjmowane przez publiczność. W r. 1785 przybywa do Wilna Bogusławski, znajduje dogodną na przedstawienia salę w pałacu Oskierczyńskim i, po kosztownej przeróbce, otwiera w niej teatr „Fircykiem w zalotach". Od tej pory Wilno ma swój p r a w d z i w y teatr, który promieniuje na inne miasta (Grodno, Mińsk, Dubno). Trupa Bogusławskiego składała się z 22 osób, śród których, obok samego dyrektora, była gromada uzdolnionych artystów: Jakób Hempiński, Desznerowa, F. Pierożyńska, Marunowska, Łazańska i P. Drozdowska. Bogusławski dawał w swym teatrze zarówno dramaty i komedje, jak opery. Był w Wilnie w szczęśliwszem położeniu, bo nie miał rywalizacji z teatrami cudzoziemskiemi, jak się działo w Warszawie i we Lwowie. Natomiast znalazł przeciwnika w słynnym przedsiębiorcy teatralnym warszawskim, Ryxie, który mu rozbił trupę i zabrał do Warszawy 18 aktorów. Nie zrażony tym ciosem, Bogusławski sformował szybko nową trupę i tak się czuł dobrze w Wilnie, że miał zamiar pozostać w niem na zawsze. Nagle, w r. 1790 otrzymał sztafetę od króla, by natychmiast przybył do Warszawy ze swą trupą wileńską. Bogusławski wykonał chętnie rozkaz, a w kilka miesięcy później otrzymał od króla wezwanie, aby „utrwalił swą trupę antrepryzą w Warszawie". Gdy po upływie lat trzydziestu, Bogusławski znowu zawitał do Wilna (w roku 1816), publiczność powitała go powstaniem z miejsc, a przyjazd jego nazwano „świętem narodowem".

Po wyjeździe Bogusławskiego, gościły w Wilnie trupy wędrowne i korzystały z pałacu Oskierczyńskiego, w którym Bogusławski pozostawił „oporządzenie teatru", kosztujące około 30 tysięcy złotych. P. Miller odtwarza mozolnie z archiwów miejskich szczegóły gospodarki tych teatrów, pomiędzy latami 1790 — 1801. Z trup wędrownych ustaliła się na dłużej ta, którą zorganizował Dominik Morawski (1796 — 1801). Po dziesięciu latach poszukiwań w rachunkach magistratu wileńskiego, p. Miller zdołał ustalić, że Morawski wystawił w ciągu pięciu lat: 14 oper, 29 komedyj, 8 dramatów i 11 tragedyj. Stworzył scenę „pierwszą po warszawskiej". Po śmierci Morawskiego, prowadzi przez pięć lat teatr wileński jego żona, Marja Morawska. Bogusławski zapewnia, że czas jej rządów „był nieledwie najświetniejszą epoką wileńskiego teatru". Były to czasy przyzwoitego względnie stosunku władz rosyjskich do społeczeństwa wileńskiego. Cenzurę miała Morawska łagodną, a gubernator Benningsen wydaje w r. 1802 rozporządzenie: „Zgodnie z wolą Monarchy, podczas jego pobytu w Wilnie wyrażoną i wobec jego odwiedzin tegoż teatru, należy pomagać Morawskiej i bronić jej: zabezpieczam ją od dnia dzisiejszego na lat pięć, z prawem wyłączności przedstawień w języku polskim, a innym trupom — zabraniam występów". Morawska dążyła do zespolenia teatru z ludnością wileńską. Teatr wileński stał się wybitną placówką kulturalną. Następca Morawskiej, Maciej Każyński dobrze podtrzymywał tradycje swej poprzedniczki. W repertuarze uwzględnił obficiej dramat. W r. 1810 zjawia się w Wilnie krytyka teatralna. Wpływu na publiczność nie miała, gdyż nie ujawniła wyraźnej linji swych postulatów.

Pierwsze trzydziestolecie teatru w Wilnie stanowi jego epokę bohaterską: najwięcej było w tych początkach gorących usiłowań i owocnych wyników. To też wydobycie na jaśnię różnych nieznanych dokumentów, dotyczących tej epoki, stanowi rzetelną zasługę p. Millera. Nie możemy podążać za nim szczegółowo w historji dalszych poczynań teatru wileńskiego. W r. 1816 zorganizowano w Wilnie „Dyrekcję Teatralną", złożoną z obywatelskich elementów miejscowych. W skład jej weszli: A. Chrapowiecki, prof. Becu, prof Leon Borowski i Józef Szumski. Po czterech latach dyrekcję objął Kasper Kamiński, a po nim K. Skibinski, po którym pozostał bardzo ciekawy pamiętnik, ogłoszony drukiem na początku wojny.

Po powstaniu 1831 r. rozpoczyna się w Wilnie i na Litwie proces rusyfikacji. Już w roku 1833 afisze teatralne drukują się po rosyjsku i po polsku, a gen. gubernator mianuje dyrektorem teatru Skobielcyna. W ratuszu założono teatr rosyjski, a teatr polski, pod pretekstem jego „starości", zamknięto. Oba towarzystwa, polskie i rosyjskie, pod presją rządu połączyły się w r. 1845 w jedno w teatrze ratuszowym, przyczem polskie zobowiązało się grywać „dodatkowo" po rosyjsku. Rozpoczęła się smutna epoka zatraty poczucia narodowego śród aktorów polskich, którymi kierowali dyrektorzy rosyjscy tak, jak to zarządzono również w Warszawie. Ale w Warszawie nikomu na myśl nie przyszło, ażeby aktor polski mógł grywać **w Polsce** po rosyjsku. Tymczasem w Wilnie wciągano powoli aktorów polskich do grania w utworach rosyjskich, powiększając im za to gaże... Tak trwa aż do powstania 63 r. W r. 1864 Murawjew zawiesił przedstawienia polskie i część aktorów polskich włączył do trupy rosyjskiej. Śród ośmiu osób, jakie pozostały w tej trupie był także... Bolesław Leszczyński! Publiczność polska przestała chodzić do teatru i tak trwało przez lat 41. Dopiero w r. 1906 odbyło się w Wilnie pierwsze po powstaniu przedstawienie polskie, na którem wystąpił gościnnie—Bolesław Leszczyński...

Jan Lorentowicz.

(Dokończenie ze strony 5-tej.)

sobie wstręt do twórczej akcji. Odwrócić się i równać — ku górze.

Mówiąc o twórczej akcji na rynku pracowniczym, nie należy ograniczać się poglądem na dezyderaty klanu inteligenckiego, lecz w rozważaniach objąć potrzeby całej ludności, całego kraju. Wtedy okaże się, że na rynku pracy jest bardzo wiele wolnego miejsca, niema jednak ani warunków, ani kandydatów do prac bardzo potrzebnych, bardzo naglących. Tak ma się sprawa np. z lekarzami, ze służbą sanitarną, z kwestjami oświatowemi na tak zwanej prowincji, w małych miasteczkach, na wsiach. Otóż stworzenie warunków, walczenie o możność obsadzenia tych niezbędnych placówek — to jest także rola i zadanie organizacyj pracowniczych, występujących w obronie egzystencji pracowników, ich prawa do pracy i ich udziału w tworzeniu kultury.

Tymczasem, jak dotychczas, o akcji takiej właściwie się nie mówi, nie bada się terenu, ani nie wysuwa się żadnych konkretnych wniosków — ubolewa się czasem teoretycznie, że na tyle, a tyle tysięcy mieszkańców niema ani jednego lekarza, zaś miljony dzieci pozostają bez szkoły. Taki bierny stosunek do zagadnień, które w pierwszej linji są zagadnieniami pracowników umysłowych, jest absolutnie niewystarczający, niedołężny, nietwórczy.

Niektóre organizacje pracownicze poszły po linji tworzenia nowych zawodów i dokształcenia, lub przeszkalania pracowników w zawodach, mających widoki rozwoju i powodzenia. Racjonalna ta akcja obejmuje dotąd zbyt małą liczbę osób, w stosunku do bezrobocia. Jest jednakże dowodem, że jest możliwą rzeczą nie redukować, nie ograniczać prawa do pracy, lecz tworzyć pracę i zarobki.

Jadwiga Krawczyńska.

LEONJA JABŁONKÓWNA.

Ostatnie filmy polskie „na cenzurowanem"

Z filmem polskim sprawa przedstawia się potrosze tak, jak z ową nieznośną kuzynką z prowincji, zezowatą, koślawą i beznadziejnie głupią, ale tolerowaną w towarzystwie, i nawet zapraszaną od czasu do czasu na bale stołeczne, ze względu na wielki majątek, który prawdopodobnie kiedyś odziedziczy. Ile to z taką kłopotu! Bo żeby to przynajmniej, zdając sobie sprawę z niedostatków swojej urody i umysłu, chciała się przyzwoicie i skromnie zachowywać... Ale gdzie tam. Ubrana zawsze niemożliwie wyzywająco i wulgarnie, hałaśliwa, prostacka, pozbawiona przedewszystkiem elementarnego taktu, zatruwa życie nieszczęsnej rodzinie, która, paląc się ze wstydu, oprowadza ją jednak wśród „wielkiego świata", bo... spodziewane dziedzictwo... Wkońcu wytwarza się jakiś uraz na punkcie koczkodana, o którym wogóle nie mówi się inaczej, niż z rumieńcem skrępowania.

Na czem właściwie opiera się ów kompleks, owo poczucie niższości, „małowartości" tej naszej nieszczęsnej nieudanej, pretensjonalnej kuzynki z prowincji — filmu polskiego? Byłoby bardzo powierzchownym osądem, zwalać wszystko na ową nieumiejętność ubrania się i na złe maniery żenującej krewniaczki. Pretensje do filmu polskiego, o źle zbudowane scenarjusze, o szmirę aktorską, szare i banalne zdjęcia — były niewątpliwie uzasadnione, ale w rzetelnem ustosunkowaniu się do całego problematu mogły odgrywać tylko pewną i napewno nie najważniejszą rolę. Istotny nasz żal i niechęć płyną z innych, o wiele głębszych, źródeł.

Jak się przedstawia tematyka polskiego filmu? Jakie problemy treściowe i artystyczne są w polskich wytwórniach rozwiązywane, a choćby tylko stawiane?

Zgrubsza dadzą się polskie obrazy ekranowe podzielić na wielkie grupy: farsy i komedje muzyczne — oraz dramaty „patrjotyczne". Te ostatnie oparte przeważnie na motywach historycznych, w formie, w jakiej je widzieliśmy, przeniesione na jakąkolwiek inną płaszczyznę sztuki, a więc powieściową, czy teatralną, potraktowane byłyby niewątpliwie jako bardzo trzeciorzędnej jakości melodramaty. Nie znamy ani jednego filmu polskiego, w którym ów pierwiastek patrjotyczny, odbarwiony ze swego oleodrukowego kolorytu, pozbawiony wyświechtanych, tłustych od stałego miętoszenia, bez treści wewnętrznej atrybutów ornamentacyjnych — został podniesiony do godności jakiegoś *zagadnienia*, o które się walczy; albo przynajmniej, gdzie liryzm i patos samego przedstawienia dawnych, drogich momentów — byłyby dostatecznie silne, aby zrównoważyć frazeologję reklamy.

Były oczywiście i filmy t. zw. „psychologiczne". Ta psychologja sprowadzała się tu — podobnie zresztą jak to się dzieje w dużej części filmów amerykańskich — do kłopotów nietyle sfinksowatej, ile „sfinksowej" bohaterki, nie umiejącej się zdecydować na jedną z trzech par otaczających ją spodni. Filmów, usiłujących w najskromniejszych bodaj rozmiarach zająć się jakiemkolwiek zagadnieniem społecznem — właściwie wogóle w Polsce dotąd nie było (poza kilku nieznanemi szerszemu ogółowi krótkometrażówkami awangardowemi, oraz chybionym niestety całkowicie w wykonaniu, oraz niewykończonym właściwie filmem „Przebudzenie" — za jedyną próbę skromnego bodaj filmu społecznego uważać należy niedoceniony należycie „Legjon ulicy").

Z tem większem zainteresowaniem należało oczekiwać 2 polskich filmów, od których można było się spodziewać jakiegoś nowego podejścia treściowego. Mowa tu o „Panu Twardowskim" i o „Jego wielkiej miłości". Ten drugi zwłaszcza, ze względu na osobę Jaracza, grającego główna rolę, oraz na dość niebanalny wątek tematyczny, pozwalał spodziewać się choć trochę pogłębienia psychologicznego.

Niestety, film, pomimo kilku doskonałych momentów, zawodzi. Historja „szarego człowieka", biednego suflera teatralnego, który przełamuje swój „kompleks niższości" i poprzez trupy idzie do wielkości, stając się wielkim aktorem, nie wytrzymuje jednak napięcia i wraca znów do swoich nizin — zaczęta została bardzo ciekawie i nasuwała jakieś reminisencje chaplinowskie. Zawinił jednak przedewszystkiem scenarjusz, w którym linja psychologiczna bohatera załamuje się według schematu banalności. Upadek bohatera następuje właściwie dzięki czysto przypadkowemu momentowi: zjawieniu się matki zabitego przezeń rywala. Nie wynika z wewnętrznej konieczności, nie dowodzi istnienia jakichś praw psychicznych, które nim kierowały. Nie czujemy żadnego wewnętrznego związku między trzema fazami życia bohatera: jego anonimową szarością, jego „napoleonjadą" — i ostatecznym upadkiem. Zaznacza się tu, niestety, raczej wpływ dawnych, pseudo-psychologicznych filmów Janningsa, aniżeli wielkiego Chaplina. Może wskutek tego załamania już w założeniu scenarjuszowem, gra Jaracza nie stała na tej wysokości, jaką ten wspaniały artysta osiąga w najsłabszych nawet sztukach teatralnych. Poza kilku momentami (scena zabójstwa, wspaniałe przechodzenie od tremy przy pierwszem próbowaniu roli Napoleona do mistrzowskiego „rozegrania się") rolę tę cechował pewien naturalizm, właściwie całkowicie obcy Jaraczowi na scenie. Niewątpliwie, działały tu pewne sugestje niemieckie (mowa oczywiście o filmach sprzed kilku lat).

Nadziei na jakieś nieśmiałe choćby próby filozoficznego pogłębienia wersji polskiego faustyzmu „Pan Twardowski" oczywiście nie spełnia. Jest to, niewątpliwie, dość banalne i kiczowate potraktowanie pięknego legendarnego motywu. Film jednakże należy chyba do lepszych osiągnięć polskiej kinematografji (co, oczywiście, nie przesądza bynajmniej jego wartości). Należy podnieść z uznaniem duży postęp w opracowaniu scen zespołowych i pewne wyczucie historycznego stylu, pierwsze bodaj w dziejach naszego ekranu. Stary Kraków, tłum na rynku, Lajkonik — to są już momenty, stojące na pewnym poziomie i które możnaby wreszcie bez wstydu (choć naturalnie nie jako rewelację) pokazać zagranicy. Mieczysława Ćwiklińska w epizodycznej roli bogatej mieszczki rehabilituje wszystkich tych naszych aktorów, którzy w kontuszach, czy w zbrojach, w świtkach ludowych, czy tiurniurach, pamiętają zawsze o swoich sukniach i kamizelkach XX wieku. Ćwiklińska w sposób niezawodny, a tajemniczy, jednym gestem, jednem zamachnięciem spódnicy sugeruje nam nieodparcie epokę. Już czas najwyższy wyzyskać lepiej i pełniej w filmie tę cudowną artystkę!

W sumie — obydwa nowe filmy polskie nie przyniosły tęsknie wyczekiwanego odświeżenia atmosfery; zawierają jednak pewne momenty godne podkreślenia.

Leonja Jabłonkówna.

HENRYK LUKREC

Oprawcy po wiedeńsku

Siła zarazy moralnej, płynącej dziś z krajów faszystowskich, wyraża się przedewszystkiem w znikczemnieniu prasy. Jaskrawe objawy zdziczenia społecznego i zbarbaryzowania uczuć w samem sercu Europy, szczycącej się dotąd blaskami swej kultury, — są starannie pomijane lub dławione milczeniem. Prasa z nielicznemi wyjątkami, nabrała wody do ust.

Jeszcze nie tak dawno upiorna praktyka caratu poruszała sumienia ludów europejskich, wzniecała płomienie powszechnego oburzenia, które często wyładowywało się na szpaltach pism, buchało w ciżbie tysięcznych zebrań protestacyjnych i zjazdów międzynarodowych. Ale wówczas chodziło o Wschód, o kozacką kulturę, o bizantynizm ówczesnego synodu prawosławnego, który swoją powagą wspierał carską vendettę, — dziś zaś, gdy chodzi o prawo i dostojeństwo ludzkie, deptane i co dnia poniewierane w krajach faszystowskich, — olbrzymie odłamy prasy milczą jak zaklęte. Otóż np. nic prawie się nie pisze o wielkim procesie politycznym, który obecnie toczy się w Wiedniu, gdzie nie wygasło jeszcze pragnienie wolności i gdzie polip faszyzmu nie wżarł się ostatecznie w duszę skutego i powalonego miasta.

Z liczby trzydziestu oskarżonych, dwum grozi kara śmierci, mianowicie Seilerowi, dawnemu redaktorowi wiedeńskiej „Arbeiter Zeitung" i Marcie Emhart, młodej i nieustraszonej bojowniczce idei. Proces ten, oparty wyłącznie na motywach zemsty politycznej i będący poniekąd jednym z ostatnich odgłosów powstańczej tragedji poruszył sumienie społeczne w Anglji, Belgji i we Francji. Kraje te wysłały do Wiednia swoich korespondentów, a także delegację stronnictw robotniczych. Nadto międzynarodowe stowarzyszenie prawników posłało tam swego przedstawiciela w osobie francuskiego adwokata Roselaava. W skład delegacji weszły wybitne osobistości polityczne, co świadczy wyraźnie o znaczeniu procesu i o gotowości bezpośredniego, moralnego wzmocnienia oskarżonych i dodania im otuchy przez swoją obecność. Przybyli więc do Wiednia: Price, poseł do Izby Gmin, Longuet, poseł do Izby Deputowanych, pani Vandervelde, żona sławnego socjalisty belgijskiego i De Broucker, przewodniczący II Międzynarodówki. Jednakże delegacji tej sądy wiedeńskie nie dopuściły pod pozorem braku miejsca, chociaż pomieścić się mogło jeszcze łatwo osób czterdzieści. Dopiero naskutek nacisku, wywartego przez francuską Ligę Praw Człowieka i Obywatela prezes sądu wiedeńskiego zgodził się dopuścić delegację, ale dopiero pod sam koniec procesu.

Wszyscy podsądni oskarżeni zostali o branie udziału w zjeździe partji socjalistycznej, który się odbył w Brunnie w 1934 r. i gdzie uczestnicy zjazdu postanowili, o zgrozo, walczyć o legalizację ruchu robotniczego w Austrji. Jakże te motywy procesu żywo przypominają nam czasy carskiej przemocy i jak pięknie harmonizują dziś z duchem faszystowskiej inkwizycji. Tylko ówczesne oblicze wschodniego despotyzmu odpowiadało ściśle stanom moralnej i materjalnej kultury państwa carów, gdy tymczasem dziś naświeżo oko i ucho cywilizowanego europejczyka przyzwyczajać się musi do widoku i skrzypu szubienic wśród mroków zbarbaryzowanej stolicy naddunajskiej.

Ale nietylko tło toczącego się obecnie procesu w Wiedniu przypomina do złudzenia dawne sądy rosyjskie w Warszawie, ale i sam przebieg ponurej rozprawy i dramatyczne wyrazy sponiewieranej sprawiedliwości stanowią wierne naśladownictwo tańców śmierci pod wrotami traceń mikołajewskiej cytadeli.

Stan doszczętnego wyczerpania i ruiny fizycznej dwóch oskarżonych nie przeszkadza prokuratorowi domagać się kary śmierci dla Seilera, dotkniętego ciężką beznadziejną chorobą, i dla Marty Emhart, wyniszczonej otwartą gruźlicą, w ostatniem stadjum.

Ale ci osobliwi wiedeńscy słudzy Temidy zdołali się już zaprawić w okrucieństwie i stworzyć nawet klasyczne wzory tracenia ludzi, tak dzielnych zwłaszcza jak inż. Georg Wessel, Kolomann Wallisch lub Münichreitter.

Jeżeli chodzi o tego ostatniego męczennika, to nawet wśród hekatomby ofiar caratu nie było ani jednej, któraby stracono w tak okrutny sposób jak Münichreittera. Ten inwalida, co mimo swego kalectwa brał udział w wypadkach lutowych, został, jak wiadomo, ciężko ranny w brzuch. Umieszczony w szpitalu w beznadziejnym stanie, nie uniknął jednak sądu i był zaocznie skazany na karę śmierci przez powieszenie. Wbrew stanowczej opinji lekarzy, świadczących, że godziny rannego są policzone i niema mowy o utrzymaniu go przy życiu, a także pomimo odmowy ich wydania Münichreittera ze szpitala, — wywleczono go w agonji na miejsce kaźni. Po drodze wskutek ciągłych wstrząsów bandaże się rozluźniły i otworzyły się głębokie rany w brzuchu, powodując wywalenie się jelit nazewnątrz. I któżby pomyślał, że ci słudzy sprawiedliści wlekli dogorywającego skazańca nie w odległych czasach Inkwizycji hiszpańskiej, ani w epoce panowania Henryka VIII, ani też w wiekopomnych godzinach Nieszporów Sycylijskich, lecz w czwartym dziesiątku lat XX stulecia, i nie wśród plemion Kanibalskich, ale w sercu Europy, w bogobojnej naddunajskiej stolicy! Donieśli tam skazańca z otwartą jamą brzuszną na noszach, posuwając się z trudem po stopniach szafotu, a nie mogąc nieprzytomnego Münichreittera postawić pod szubienicą, założyli mu stryczek na głowę w pozycji leżącej. Zapewne wskutek okropnego bólu w otwartych ranach brzucha, skazaniec odzyskał na chwilę świadomość i ogarnąwszy wzrokiem straszliwą rzeczywistość pożegnał życie jednym wyrazem, szeptem i z wysiłkiem wypowiedzianym: „Wolność!" I wzorem Dantego w Boskiej Komedji poszedł jej szukać w zaświatach.

Nic zatem dziwnego, że i w dzisiejszym procesie ci sami wiedeńscy słudzy Temidy żądają nadal kary śmierci, w dodatku dla ludzi ciężko chorych, stojących już nad grobem, których stan i wygląd wywołują na sali sądowej wstrząsające wrażenia.

Gdy jeden z sędziów ustawicznie przerywał oskarżonemu, Felleisowi, zerwała się jakaś kobieta z pośród publiczności i zawołała donośnym głosem: „możecie zabronić mówić, ale ducha nie zgnębicie!", zwracając się zaś w stronę galerji prasowej, dodała odważnie: „patrzcie, dziennikarze zagraniczni, jak tutaj w Austrji obchodzą się z nami. Napiszcie o tem w swoich gazetach!" Kobietę tę, która nb. jak się okazało, jest żoną dziennikarza z „gleichschaltowanej" prasy, bezzwłocznie aresztowano.

Spełniając prośbę tej szlachetnej austrjaczki piszemy dziś o tym procesie, choć w tej chwili dobiega ono dopiero końca i epilogu jego jeszcze nie znamy. Jedno jest w każdym razie pewne, że do liczby sławnych w całym świecie specjalności wielkiego miasta nad modrym Dunajem, t. j. słodkich melodji straussowskich, gorzkiej wody Franciszka Józefa, jajek po wiedeńsku, cielęcych sznycli po wiedeńsku, przybyła ostatnia jako największa osobliwość: oprawcy ludzi po wiedeńsku i sądy po wiedeńsku.

Henryk Lukrec.

FUNDUSZ PRACY

W połowie marca r. b. odbyło się pod przewodnictwem Ministra Opieki Społecznej posiedzenie Rady Funduszu Pracy.

Z treści przemówień sprawozdawczych dowiedzieliśmy się m. in., że kredyty preliminowane na roboty publiczne na okres lat 1936/1937, wynoszą zł. 35 miljonów. Wobec nikłości tej sumy uruchomione mają być również skarbowe rezerwy pozabudżetowe do wysokości 19 miljonów złotych, to jest łącznie do złotych 54 miljony. W okresie lat ubiegłych 1936/1936 kwota ta wynosiła złotych 94 miljony.

Co się tyczy kredytów na t. zw. pomoc doraźną dla bezrobotnych, to wynoszą one na okres lat 1936/1937 tylko złotych 19 miljonów dla całego Państwa, to jest około złotych półtora miljona miesięcznie.

Na posiedzeniu tem zostało podkreślone, że dzięki pewnemu (bynajmniej niewystarczającemu! — uwaga nasza) współdziałaniu z tą akcją społeczeństwa udało się Funduszowi Pracy przyjść z pomocą w okresie miesięcy zimowych roku ubiegłego ok. 800.000 osobom (bezrobotnym i ich rodzinom). W obecnej chwili, jak stwierdzono, możliwości budżetowe na cele tej pomocy doraźnej już wyczerpano niemal całkowicie, przeto dalsze losy tej pomocy siłą rzeczy opierać się muszą przedewszystkiem na ofiarności społeczeństwa.

Rozmiary prowadzonej przez Fundusz Pracy akcji pomocy dla bezrobotnej młodzieży również nie mogą być uznane za wystarczające. Podkreślono, że w obecnym stanie rzeczy zwiększenie możliwości zatrudnienia przez zakłady pracy młodzieży bezrobotnej jest uzależnione w pierwszym rzędzie od dobrej woli i stopnia zrozumienia potrzeb państwowych przez te zakłady pracy. Nie ulega bowiem, naszem zdaniem, żadnej wątpliwości, że w licznym szeregu wypadków powiększenie stanu zatrudnienia w zakładach pracy lub w instytucjach jest nietylko możliwe, ale jest konieczne i byłoby również korzystne dla interesów pracobiorców. Możliwości te uwarunkowane są jednakże przez przestrzeganie poniewieranych obecnie bezkarnie przez zakłady pracy i instytucje (również państwowe i samorządowe) ustaw o czasie pracy.

Najzupełniej podzielamy pogląd, wypowiedziany na Radzie, że grosz idący na zatrudnienie i pomoc młodzieży nie jest groszem miłosierdzia, lecz pożyczką inwestycyjną, od której procenty zbierać będzie przyszła Polska. Niestety, zupełnie inaczej, jak wykazuje rzeczywistość — odnosi się do tego zagadnienia większość pracobiorców. Lekceważąco i niechętnie; naprożno tedy miarodajne czynniki rządzące łudzą

(Dalszy ciąg na stronie 7-ej.)

EWA JAŚNIEWSKA

Może chcecie poznać prawdę...

Pod takim tytułem ukazała się nakładem „Echa Społecznego" książka Józefa Wasowskiego wstrząsająca do głębi duszy koszmarną grozą faktów, cyfr i dokumentów, obnażających dno ludzkiej krzywdy i niewoli. Ta straszliwa prawda powinna wywołac najżywszy oddźwięk w społeczeństwie, gdyż ogrom zła przekracza już wszelkie granice i urasta do jakichś paradoksalnych i niesamowitych wprost wymiarów.

Chorym, zatrutym rytmem pulsuje najokropniejsza, najtragiczniejsza nędza pod powierzchnią codziennego życia i w walce trosk i zajęć powszednich przechodzimy często obojętnie obok faktów straszliwych, „wołających o pomstę do nieba", „obrażających człowieczeństwo samo" jak mówi autor w przedmowie do swej broszury.

Konieczna jest tu ingerencja czynników społecznych i państwowych, konieczne jest zakrojenie na szerszą skalę, doraźne ratownictwo — by zmniejszyć sumę tego zła, które na tle cywilizacyjnych osiągnięć epoki wydaje się jakimś nieprawdopodobnym koszmarem.

Ale aby ratować trzeba poznać tę okrutną prawdę aż do dna, nie cofnąć się przed najjaskrawszemi obrazami ludzkiej nędzy i poniżenia — wiedza o tem, co dzieje się wśród mas skazanych na bydlęcą wegetację w najokropniejszych warunkach życiowych powinna stać się nakazem moralnym dla szerokich warstw społeczeństwa i wywołać w tem społeczeństwie najżywszą najbezpośredniejszą reakcję.

Taką jest właśnie szlachetna intencja autora, który nagromadził fakty i dokumenty rozpaczliwego bytowania mas pracujących i bezrobotnych, oświetlił w cyfrach tragicznych i wymownych, rozmaite odcinki nędzy i niedoli ludzkiej.

Dowiadujemy się, jak żyją ci najnieszczęśliwsi skazani na powolne konanie twardym i okrutnym wyrokiem rzeczywistości współczesnej.

Cyfry te nie są suche — ociekają krwią i łzami — nabrzmiewają" krzykiem.

Przemawiają silniej i potężniej do uczuć i wyobraźni niż najpiękniej ubarwione opisy literackie, bo prawda faktów jest wstrząsająca.

Dowiadujemy się, że rodzice dają swym dzieciom eter i wódkę — by nie grymasiły i prędzej zasnęły — bo zabieg ten zastępuje im perswazję, kołysankę i... „kolację" — że w 14-ym roku życia 52.8% chłopców i 34 % dziewcząt (według ankiety przeprowadzonej w Bojnowach Nowych) pije stale wódkę.

Dowiadujemy się, jak żyją ludzie stłoczeni w dusznych, ciasnych pomieszczeniach bez światła, bez powietrza, bez chleba i odzieży, w lokalach, które stają się rozsadnikami chorób zakaźnych, „wogóle kulturami wszelkiej epidemji, już nietylko gruźlicy".

Według badań przeprowadzonych przez dr. Michała Łęckiego na terenie Warszawy 50% chorych prątkujących nie posiadało własnego łóżka, a 11.8% chorych na gruźlicę spało z dziećmi.

O tych strasznych nocach nędzarzy pisze autor:

„Noc. Wytchnienie. Trzecia część życia, wypełniona dobrodziejstwami snu i ukojenia, zapomnieniem, przerwą w troskach, przysparzaniem sił fizycznych i nerwowych. Albo też noc inna: koszmar w zaduchu i praca mikrobów. Dwa światy nocy, tak różne jak i światy dnia".

Ale najjaskrawiej może uwypuklają tragizm położenia przemiany psychiczne, dokonywujące się na tle nędzy — „zanik poczucia wstydu, moralności, instynktu pracy, jakieś kompletne przewartościowanie pojęć zwłaszcza w młodem pokoleniu".

I rozpacz gromadząca się w duszach tych parjasów społecznych — rozpacz czarna, beznadziejna, która staje się psychiczną dominantą w ich życiu, pchając do zbrodni, kradzieży i samobójstw, do symulacji obłędu, dla dostania się do szpitala obłąkanych, do wybijania szyb wystawowych, by znaleźć się w więzieniu, bo nie ma się chleba i dachu nad głową.

Gorącym nurtem uczucia, najżywszym porywem człowieczeństwa, buntującego się przeciw temu ogromowi zła nasycone zostały te opisy najokropniejszej ludzkiej rozpaczy i bezradności.

Wyczuwa się to nie we wszystkiem: w doborze materjału najjaskrawszego, najwymowniejszego, w zmontowaniu poszczególnych fragmentów, w hamowanem wzruszeniu i dyskrecji komentarza.

Czujemy sie do głębi wstrząśnięci i przerażeni okropnym stanem rzeczy również i dzięki temu, że prawda okrutnych faktów przełamana przez pryzmat odczucia najbezpośredniejszego przemawia silnie do serca i budzi żywy resonans.

I to między innemi stanowi ogromny walor tej książki, wyróżniający ią spośród inych tego rodzaju publikacyj.

Takie bezpośrednie, serdeczne, głębokie odczucie tragedji jednostki na tle nędzy i bezrobocia uwydatnia się szczególnie silnie w opisanych przez autora sprawach sądowych i wypadkach samobójstw.

O rozpaczy nauczycielki, która po dwudziestu latach ofiarnej pracy otrzymała wiadomość o utracie posady pisze autor: „...ta ciemność straszliwa, idąca, waląca się na człowieka, który nie wie co robi, jak się ratować, któremu jakby się ziemia spod nóg usuwała..." O niedoszłym samobójcy, który również i żonie dostarczył trucizny pisze autor tak: „Nazwisko Jana Gawrysia dostało się do prasy nie dlatego, że mu się życie nie udało, bo to nikogo nie obchodzi, ale dlatego, że mu się nie udała śmierć".

Przesuwają się przed oczyma obrazy najokropniejszej grozy, gdy człowiek zduszony pętlą bezrobocia zamknięty w kręgu ślepego, okrutnego, nieubłaganego nieszczęścia, nadaremnie szukający wyjścia z pułapki losu musi wreszcie pozbawić się życia, skazany wyrokiem nieodwołalnym.

Ta prawda jest straszna — w tych słowach prostych, najbardziej bezpośrednich pulsuje żywy nurt uczucia, które powinno obudzić sumienie społeczne i zrobić głęboki wyłom w murze ogólnej obojętności.

Ewa Jaśniewska.

Dokończenie z strony 7-mej.

siebie i innych nadzieją, że tego typu i wartości pracobiorcy dobrowolnie zmienią stosowane obecnie metody zatrudniania.

Pozatem, przyjęte zostały przez Radę Funduszu Pracy m. in. dwie o dużem znaczeniu praktycznem tezy dla działalności programowej tej instytucji. Mianowicie, jedna głosi o konieczności ujednostajnienia zakresów, programów i metod działania poszczególnych instytucyj i organizacyj w dziale wykonywania pomocy dla bezrobotnych pracowników i młodzieży, a druga — ustala zasady dokształcania zawodowego bezrobotnej młodzieży (przysposobienia zawodowe) z uwzględnieniem — co uważamy za bardzo ważne i słuszne — zasady aktualizowania tego właśnie dokształcania, to znaczy szkolenia bezrobotnej młodzieży przedewszystkiem w tych zawodach, które są lub będą w najbliższej przyszłości najbardziej poszukiwane na naszych rynkach pracy.

Omawiając działalność Funduszu Pracy, chcemy zwrócić uwagę na artykuł, wydrukowany w numerze „Polski Zbrojnej" z dnia 20 marca r. b. p. t. „Zbędne ministerstwo". Autor, zastrzegając się stanowczo przeciwko posądzeniu go o niechęć względem akcji zwalczania bezrobocia, wypowiada obawę, aby nie dublowano w zakresie walki z bezrobociem jednych i tych samych czynności.

Zagadnienie, poruszone w tym artykule, zasługuje na niemniejszą uwagę czynników zainteresowanych, jak te, które odnoszą się np. do należytej organizacji przez pracobiorców zatrudnienia pracowników, lub też do spotęgowania współdziałania całego społeczeństwa z Funduszem Pracy w wielkiej akcji walki z bezrobociem pracowników i młodzieży, przedewszystkiem w drodze ich zatrudnienia.

Dalszego rozważania poruszonego zagadnienia, prawdopobnie i na łamach prasy, należy oczekiwać zwłaszcza teraz, gdy zabrał publicznie głos Dyrektor Funduszu Pracy, umieszczając w „Polsce Zbrojnej" z dnia 29 marca r. b. list, uzasadniający rzeczowo i cyfrowo celowość zachowania takiej właśnie, a nie innej, struktury organizacyjnej i administracyjnej Funduszu Pracy. Omawiany list zwraca uwagę opinji publicznej na to, że Fundusz Pracy nie prowadzi we własnym zakresie żadnych robót inwestycyjnych, natomiast roboty te prowadzą resorty państwowe, związki komunalne, instytucje publiczne i t. d. Fundusz Pracy natomiast ogranicza swą działalność do finansowania i koordynowania ruchu inwestycyjnego, prowadzonego pod kątem widzenia walki z bezrobociem oraz do kontrolowania, czy kredyty zużywane są zgodnie z ich przeznaczeniem według ścisłych wskazań wykonawczych. Z tego właśnie listu dyrektora Funduszu Pracy dowiadujemy się, że stopień ściągalności opłat na rzecz tej instytucji wynosi 97.4% przypisu, co, oczywiście, jest okolicznością decydującą o rozmiarze i tempie działania tego Funduszu.

Argumenty powyższe nie zdołały jednak, jak się okazuje przekonać autora artykułu „Zbędne ministerstwo". Ujawnia on bowiem na marginesie omawianego listu stanowisko nieprzejednanie negatywne w stosunku do założeń, na których opiera swe istnienie Fundusz Pracy.

Autor, operując ciekawą i rzeczową argumentacją, jest zwolennikiem systemu centralistycznego również odnośnie do sprawy walki z bezrobociem w drodze robót inwestycyjnych. Jest on zdania, że fundusze na te cele zbierane, a następnie rozprowadzane na owe roboty inwestycyjne, oraz dyspozycje nimi winny się kondensować w jednych rękach Ministra Skarbu.

Pozwolimy sobie, znając nieco to zagadnienie nietylko od strony formalno-prawnej, ale i od strony wykonawczej, wypowiedzieć pogląd, że, o ileby nawet przyznać wiele słuszności autorowi artykułu dla względów teoretycznych o tyle względy praktyczne, jedynie zapewniające należyte zużytkowanie sum na planową walkę z bezrobociem, przemawiają za utrzymaniem odrębności działania Funduszu Pracy. Można i należy dbać nieustannie o doskonalenie systemów jego pracy, natomiast działalności Funduszu Pracy dla dobra walki z bezrobociem niszczyć nie należy.

Z życia naszego Związku

KONFERENCJA PREZESÓW ODDZIAŁÓW.

Na dzień 20 marca została zwołana do Warszawy konferencja prezesów 56 Oddziałów Związku Zawodowego Pracowników Ubezpieczeń Społecznych w Polsce. Na konferencję tę, poprzedzoną plenarnem posiedzeniem Zarządu Głównego Związku, przybyli prezesi wszystkich niemal oddziałów. Porządek dzienny konferencji obejmował zasadniczo sprawę § 56 pragmatyki służbowej i oddłużenia zobowiązań finansowych pracowników.

Obrady konferencji poprowadził w lokalu Związku, prezes Związku kol. J. Domański. Zebrani na wezwanie przewodniczącego uczcili powstaniem i jednominutowem milczeniem pamięć Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Jako pierwszy punkt obrad podjęto sprawę § 56 przepisów służbowych, mocą którego pracownicy ubezpieczeń społecznych z dniem 1-go kwietnia r. b. mieli opłacać przypadającą na nich część świadczeń socjalnych. Kol. Domański oraz Sekretarz Generalny Związku kol. J. Gościmski poinformowali zebranych o akcji Zarządu Głównego w tej sprawie. Zarząd Główny w dniu 18 lutego rb. złożył na ręce Pana Ministra Opieki Społecznej memorjał wnoszący o zawieszenie mocy obowiązującej § 56 na czas trwania podatku nadzwyczajnego od uposażeń. Na skutek tego memorjału oraz ciągłego starania Zarządu Głównego Pan Minister Opieki Społecznej postanowił zawiesić § 56 przepisów służbowych na czas trwania nadzwyczajnego podatku od uposażeń z wyjątkiem grup uposażeniowych: I, II, III, IV i w toku ożywionej dyskusji stwierdzono, że akcja Zarządu Głównego, stosującego zawsze w swej działalności taktykę słusznych i racjonalnych żądań, a nie żądań demagogicznych, uzyskała zrozumienie u Pana Ministra, który darzy nasz Związek zaufaniem i przychylnie ustosunkowuje się do jego poczynań.

Zebrani uchwalili w wyniku dyskusji następującą rezolucję:

„Przyjmujemy do wiadomości decyzję Ministerstwa Opieki Społecznej, zawieszającą § 56 na okres podatku nadzwyczajnego dla grup uposażeniowych do V włącznie. Równocześnie domagamy się całkowitego zniesienia opłat socjalnych dla wszystkich pracowników objętych i nie objętych przepisami służbowemi w instytucjach ubezpieczeń społecznych". Rezolucja ta wzywa zatem Zarząd Główny do podjęcia akcji w kierunku zniesienia § 56 pragmatyki służbowej dla wszystkich pracowników, zatrudnionych przez instytucje ubezpieczeń społecznych.

Na terenie niektórych ubezpieczalni pracownicy fizyczni tych instytucyj nie są objęci przepisami pragmatyki służbowej. Zebrani podnosząc ten fakt domagali się rozszerzenia mocy obowiązującej pragmatyki i na tych pracowników.

Sprawę oddłużenia sekretarz Generalny Związku kol. Gościmski zreferował obszernie i rzeczowo. W długiej dyskusji wyłoniło się kilka projektów rozwiązania kwestji. W rezultacie zebrani, postanowili przekazać Zarządowi Głównemu sprawę opracowania ostatecznego projektu. W trakcie obrad wysunięto szereg spraw związanych z sytuacją organizacyjną na terenie ubezpieczeń społecznych oraz z warunkami pracy pracowników. Podniesiono zwłaszcza palącą konieczność uregulowania kwestji wpisów szkolnych.

Wreszcie w trosce o zapewnienie budżetowej ubezpieczeń społecznych racjonalnie prowadzonej działalności zebrani uchwalili:

„Zjazd Prezesów Oddziałów Związku Zawodowego Pracowników Ubezpieczeń Społecznych w Polsce, reprezentujących 57 oddziały, wzywa władze nadzorcze instytucyj ubezpieczeń społecznych aby wszczęły jaknajenergiczniejsze kroki celem wpłacania przez pracodawców składek ubezpieczeniowych w terminie potrącania ich pracownikom".

Konferencja Prezesów Odziałów potępiła destruktywną działalność niektórych związków zawodowych, istniejących na terenie Ubezpieczeń Społecznych, stosujących w swej akcji szkodliwe metody dla całości organizacyjnej naszej grupy pracowniczej, posiłkujących się walką konkurencyjną i demagogiczną z bratniemi — w zasadzie — organizacjami.

Konferencja Prezesów Oddziałów wykazała jednomyślność Odziałów z całokształtem działalności Zarządu Głównego, podkreślając raz jeszcze wewnętrzną zwartość organizacyjną naszego Związku.

AKCJA NASZEGO ZWIĄZKU W SPRAWIE ODDŁUŻENIA.

W wyniku konferencji Prezesów Oddziałów, odbytej w dniu 20 marca r. b., **dnia 31 marca r. b. wszystkie Oddziały w ubezpieczalniach na terenie całej Polski** złożyły na ręce Komisarzy Zarządzających identycznej treści memorjał w sprawie oddłużenia zobowiązań finansowych pracowników ubezpieczeń społecznych.

Tego samego dnia Zarząd Główny naszego Związku w osobach kol. kol.: J. Domańskiego i J. Gościmskiego złożył tej samej treści memorjał w tej samej sprawie Panu Ministrowi Opieki Społecznej.

W memorjale tym po wszechstronnem omówieniu zadłużenia pracowników stwierdzono, że:

Sytuacja materjalna pracowników instytucyj ubezpieczeń społecznych wymaga jak najszybszego uzdrowienia w drodze przyjścia im z pomocą finansową przez wszczęcie jak najszybciej akcji oddłużeniowej.

Zadłużenie pracowników dzielimy na trzy grupy:

A. Zadłużenie w instytucjach ubezpieczeń społecznych (długoterminowe i t. zw. chwilówki),

B. Zadłużenie w instytucjach koleżeńskich (związkach zawodowych, spółdzielniach kredytowych, kasach samopomocy koleżeńskiej oraz z tytułu zakupu towarów systemem ratalnym za pośrednictwem pracowniczych spółdzielni kredytowych),

C. Zadłużenie prywatne poza zakładami pracy, w bankach, u lichwiarzy, w szkołach i za komorne, częściowo w egzekucji (areszty na poborach).

Stąd też akcja oddłużeniowa jest sprawą niezmiernie pilną i w pierwszym rzędzie winna polegać na zawieszeniu niektórych rygorów przepisów służbowych, a ponadto na:

1-o. Akcji pożyczkowej, t. j. przejęciu przez instytucje ubezpieczeń społecznych zadłużeń wymienionych w grupie B w drodze udzielenia pracownikom pożyczek na spłatę tych długów i rozłożenia skumulowanego w ten sposób zadłużenia w grupie A na dogodne raty długoterminowe oraz przesunięcie terminu regulacji tego zadłużenia do czasu spłaty zadłużeń prywatnych wymienionych w grupie C;

2-o. Akcji zapomogowej, polegającej na wprowadzeniu zapomóg na spłatę długów prywatnych wymienionych w grupie C (Fundusz Zapomogowy);

3-o. Akcji skupu obligacyj Pożyczki Narodowej i Inwestycyjnej przez Z. U. S. na pokrycie zadłużeń w grupie C, lub jeżeli tych niema — zadłużeń grupy A.

W związku z powyższem wniesiono władzom nadzorczym o:

1. dopuszczenie do przedłużenia terminów spłaty pożyczek w instytucjach ubezpieczeń społecznych w drodze rozłożenia na większą ilość miesięcy (§ 48), mianowicie: z 12 na 36, z 18 na 48, z 36 na 72;

2. zawieszono postanowienia § 48 pragmatyki, dotyczące wysokości udzielanych pożyczek;

3. zezwolono na udzielanie pożyczek mimo niespłacenia poprzednich pożyczek (§ 48);

4. zezwolono na przesunięcie granicy globalnej sumy zaliczek z 1/12 preliminowanych wydatków personalnych do 1/6 tych kwot (§ 48);

5. zezwolono na zwiększenie kwoty preliminowanej na zapomogi dla pracowników (§ 43) do 15% (stworzenie Funduszu Zapomogowego);

6. wyjednano wykupienie obligacyj Pożyczki Narodowej i Inwestycyjnej przez Z.U.S.;

7. rozciągnięto zawieszenie § 56 i na grupy I — IV na okres trwania specjalnej daniny od uposażeń.

Ponadto zwrócono się z prośbą, by w zarządzeniach wykonawczych, dotyczących omawianej akcji oddłużeniowej, oparto się na następujących zasadach ogólnych:

a) Raty na spłatę skomasowanych zadłużeń (służbowych, t. zw. chwilówek i związkowych) nie powinny przekraczać 15% uposażenia netto;

b) Zapomogi wypłacane z Funduszu Zapomogowego (§ 43) do kwoty zł. 500.— udzielane być winne pracownikom do grupy VII włącznie na spłatę długów powstałych nie z własnej winy. Opinjować podanie o zapomogi będą organizacje pracownicze.

FUNDUSZ SPOŁECZNY SWOIM BEZROBOTNYM KOLEGOM.

Dwa lata temu przedstawiciele Związków Zawodowych, działających na terenie Ubezpieczalni Społecznej w Warszawie, zorganizowali w porozumieniu z Dyrekcją Ubezpieczalni Społecznej instytucję społeczną pod nazwą „Fundusz Społeczny Pracowników Ubezpieczalni Społecznej w Warszawie". Główną pobudką jaką kierowali się organizatorzy Funduszu Społecznego przy tworzeniu tej instytucji, było odciążenie pracowników od licznych opłat członkowskich na takie instytucje, jak T-wo Przyjaciół Związku Strzeleckiego, LOPP, L. M. i K. i Czerwony Krzyż, pomijając już wszystkie inne doraźne zbiórki na cele ogólno-społeczne, jak powódź, lub inne klęski społeczne.

Na te wszystkie cele pracownicy Ubezpieczalni Społecznej opodatkowali się od swoich poborów jednorazową składką miesięczną w wysokości 0,6%, a Komitet Funduszu Społecznego dokonywał, zgodnie z regulaminem, odpowiedniej repartycji składek.

Na przestrzeni swojej dwuletniej działalności Fundusz Społeczny, niezależnie od wnoszenia składek członkowskich za wszystkich pracowników do wyżej wymienionych instytucyj, zdołał jeszcze zgromadzić fundusz rezerwowy około 8.000 zł.

Coraz cięższa jednak dla pracowników ubezpieczeń społecznych sytuacja materjalna, wywołana obniżką płac i wprowadzeniem dodatkowego podatku od uposażeń, skłoniła Związki Zawodowe do zlikwidowania Funduszu Społecznego. W związku z tem Zarząd Oddziału Warszawskiego naszego Związku wystosował do Komitetu Funduszu Społecznego pismo, występujące z nim z wnioskiem, aby pozostały z likwidacji Funduszu Społecznego fundusz rezerwowy obrócić na bezrobotne zapomogi dla tych Koleżanek i Kolegów, których w ciągu 1935 roku dotknęła klęska redukcji. Do wniosku naszego ustosunkowali się przychylnie przedstawiciele innych Związków i w rezultacie Komitet Likwidacyjny dokonał podziału tego funduszu pomiędzy bezrobotnych pracowników fizycznych, jako najbardziej potrzebujących pomocy.

Z podziału tego wypadło na rodzinnych około 80 zł, zaś samotnych około 60 zł na osobę.

Uważamy, że przez udzielenie tych niewielkich zapomóg, przyszliśmy z pomocą, zwłaszcza w okresie zimowym, tym naszym Koleżankom i Kolegom, których dotknęła najmocniej zmora bezrobocia.

Systematyczny Przegląd
Ubezpieczeń Społecznych w Polsce

Z prawdziwą radością sygnalizujemy naszym Czytelnikom ukazanie się tego wysoce pożytecznego wydawnictwa, opracowanego przez mgr. Z. Wyżnikiewicza, radcę w Zakładzie Ubezpieczenia na wypadek inwalidztwa w Chorzowie, oraz przez A. Rżewskiego, notarjusza. „Systematyczny Przegląd Ubezpieczeń Społecznych w Polsce" w sposób niezwykle jasny i zwięzły przedstawia całokształt obowiązującego w Polsce ustawodawstwa ubezpieczeniowego. Praca ta może być śmiało nazwana polską encyklopedją ubezpieczeniową, wyczerpuje bowiem zagadnienie, stając się niezbędną dla każdego, kto styka się w życiu z ubezpieczeniami społecznemi.

Przez zaopatrzenie każdego omawianego problemu w specjalny nagłówek, przez pominięcie nieistotnych drobnych szczegółów, drogą systematycznego i podobnego układu tematów przy przedstawianiu każdego systemu i wreszcie przez operowanie o ile możności tekstem ustawowym autorzy tej pracy ułatwili czytelnikowi niezmiernie przyswojenie sobie tego trudnego tematu i umożliwili bardzo szybką orjentację w najtrudniejszych zagadnieniach.

W ten sposób książka uwzględnia **stokilkadziesiąt ustaw i rozporządzeń, dając czytelnikowi w konkluzji obraz obecnie obowiązującego stanu prawnego w dziedzinie polskich ubezpieczeń społecznych.** Dla tych, którzy stykają się z ubezpieczeniem społecznem w życiu prywatnem lub zawodowem, w szczególności dla urzędników instytucyj ubezpieczeniowych opracowanie to winno stać się nieodłącznym towarzyszem pracy.

Podkreślić należy, że z uwagi na fachowość autorów książki oraz ze względu na dodatkową rewizję jej tekstu przez znawców ubezpieczeń społecznych, „Systematyczny Przegląd Ubezpieczeń Społecznych w Polsce" zyskuje charakter autorytatywnego komentarza.

Cena książki wynosi zł. 7.— za egzemplarz. Członkowie naszego Związku mogą nabywać ją po cenie zniżonej— zł 5.50 za egzemplarz w dwóch ratach miesięcznych za pośrednictwem Zarządu Głównego Związku.

Ułatwi to wielu niewątpliwie nabycie tej cennej pracy, która winna się znaleźć we wszystkich bibljotekach pracowniczych Związku.

Zamówienia należy kierować pod adresem: Radca Wyżnikiewicz. Zakład Ubezpieczenia na wypadek inwalidztwa w Chorzowie.

Recital fortepianowy prof. Wł. Burkatha

Świetny pianista i kompozytor prof. Władysław Burkath, kierownik działu muzycznego „Echa Społecznego" po szeregu koncertów w Skandynawji i krajach nadbałtyckich daje w dniach najbliższych własny koncert w wielkiej sali Resursy Obywatelskiej. Wieczór ten odbędzie się w sobotę 4 kwietnia o g. 8.15 w. Prof. Burkath wykona długi szereg arcydzieł Chopina oraz u nas mało znane kompozycje łotewskie J. Wihtola. W koncercie weźmie udział świetna śpiewaczka, p. Aniela Szlemińska, która przy akompanjamencie prof. Lefelda wykona pieśni Wihtola oraz Burkatha. Koncert sobotni zyskał sobie protektorat poselstwa łotewskiego i obudził w szerokich kołach wielkie zainteresowanie.

Pozostałe bilety do nabycia przy wejściu na salę Resursy.

Przegląd polityczny

Jedenaście dni obradowała sesja nadzwyczajna Rady Ligi Narodów w Londynie pod przewodnictwem delegata Australji Bruce'a. Bilans sesji, sądząc z protokółów obrad, jest mocno ujemny. Jednostronnemu zerwaniu traktatów przez Rzeszę Niemiecką nie przeciwstawił koncert państw obradujących nad utrwaleniem prawa w stosunkach państwowych i pokoju niczego, oprócz jedynie stwierdzenia, że Niemcy pogwałciły prawo. Splot sprzecznych interesów państw biorących udział w Lidze i decydujących o posunięciach tego organizmu międzynarodowego — z jednej strony, a z drugiej — zupełnie zrozumiała chęć uniknięcia wojny i wszystkiego, co by do niej mogło prowadzić, spowodowały, że na zaciśniętą pięść Hitlera nie odpowiedziano żadnym aktem siły, czy przemocy. A tylko ta odpowiedź byłaby dla rządu III-ej Rzeszy zrozumiała i dotkliwa, tylko ta — wreszcie dawałaby satysfakcję obrażonemu poczuciu prawa międzynarodowego. Z bezsilności Ligi Narodów wobec zjawienia się wojsk Hitlera w Nadrenji wyciąga się z łatwością wniosek o zmierzchu i całkowitej kompromitacji instytucji genewskiej. Drwinom, kpinom i naigrawaniom z Ligi Narodów — nie widać na razie końca. Oficjalna polityka włoska daje do zrozumienia bez żadnych ogródek, że gdyby w swoim czasie Genewa nie wtrącała się do wojny w Afryce, to, kto wie, co teraz uczyniłyby Włochy dla przywrócenia pogwałconego prawa w Europie. Prawica francuska, choć poparła naogół stanowisko rządu Sarraut'a i Flandin'a, też czyni wyraźne aluzje do niepotrzebnie uchwalonych przeciw Włochom sankcji. W opinji angielskiej panuje na razie jeszcze większa wieża Babel: z jednej strony poczucie, że prawo pogwałcone jest powszechnie, ale z drugiej nikt nie sądzi, aby niebezpieczeństwo napadu groziło bezpośrednio, a przedewszystkiem sądzą, że skoro Hitler chce zawrzeć na 25 lat pakty o nieagresji, to trzeba z tej okazji skorzystać. Najgorzej jest tam, gdzie nawet takich rozumowań mniej lub bardziej praktycznych niema, ale, poprostu, twierdzi się, że „panie dziejski, zawsze mówiłem, ta Liga Narodów, to jakaś międzynarodówka szkodliwa, nic z niej nie będzie, oprócz złego". Takie argumenty znajdują obfite wzmocnienie w przebiegu otrzonowej w dniu 24 marca sesji londyńskiej Rady. A jednak wszystkie te sądy grzeszą dużą powierzchownością i płytkością i istotnie Liga Narodów, nie mając w swej dyspozycji sił zbrojnych, nie mogła zorganizować ekspedycji karnej przeciw Niemcom. Więcej nawet, gdyby mogła zdobyć takie siły w postaci, powiedzmy, wojsk gwarantów umów lokarneńskich, nie mogłaby ich pchnąć przeciw Niemcom, którzy wprowadzili swoje wojska na swoje własne terytorjum. Nie mogłaby właśnie dlatego, że podstawą Ligi jest ideologja, która głosi, że nie rozstrzyga się sporów siłą i że sama pięść nie decyduje trwale o wszystkiem. Istotnie, działanie Ligi jest rozwlekłe, powolne i denerwujące, ale jeszcze nie można jej uważać za nieistniejącą i nie można twierdzić, że z impasu londyńskiego, nie wydobędzie się. Impasy takie nieraz przychodziły i mijały, nie dając po sobie wojny z wyjątkiem jak dotąd dwu wypadków inwazji japońskiej do Chin, którą Genewa zniosła w milczeniu i wojny włoskiej z Abisynją, na którą odpowiedziano sankcjami.

Żadne z tych dwu zagadnień nie jest jeszcze rozstrzygnięte i nie można na nich oprzeć sądu ostatecznego o Lidze.

W każdym razie nawet Hitler i Mussolini — dwaj czynni przeciwnicy Ligi Narodów, w postępowaniu swem dowodzą, że ten papierowy i niegroźny smok jest dla nich zaporą w ich akcji. Dwukrotny przylot ambasadora von Ribbentropa do Londynu, udział ambasadora Grandi'ego w rozprawach i uchwałach państw lokarneńskich dowodzą, że „coś" jednak w tej Genewie tkwi. W. Brytanja nie śpieszy się z decyzjami, a Liga śpieszyć się nie może, bo siłę jej dopiero przyszłość przynieść może. Hałas i i tumult hitlerowskiej propagandy, która 29 marca stwierdzić miała, że za Hitlerem stoi cały naród niemiecki, nie powinny zasłaniać oczu na istotę rozwoju wydarzeń.

Hitleryzm nie rozstrzygnął żadnego z zagadnień społecznych i politycznych, które wyniosły go do rządów w Niemczech. Nie rozstrzyga ich i wprowadzenie 35.000 czy też 60.000 żołnierzy do Nadrenji. Nie rozstrzygnie ich też żaden nowy świstek papieru, który ponowie v. Ribbentrop, Gauss i von Hoesch mogli by ułożyć z panami z Foreign Office dla zastąpienia Lokarna. Personalny skład dyplomacji niemieckiej, czynnej w danem położeniu, jest tu bardzo wymowny.

Von Ribbentrop — bogaty właściciel wytwórni szampana niemieckiego Henckell, ongiś reprezentant angielskich wytwórni whisky w Niemczech, uśmiechnięty, miły w t. zw. wyższym świecie kompan, pp. v. Hoesch i Gauss — współtwórcy paktu lokarneńskiego — rzeczoznawcy — którzy dziś są ekspertami przeciw swojemu własnemu utworowi. Oto ludzie, którzy pod komendą kanclerza Hitlera mieli by stworzyć ramy dla nowego ustroju międzynarodowego Europy! Na wewnętrzny użytek narodu niemieckiego dochodzi do tego Gestapo, szturmowcy hr. Helldorfa, dr. Schacht, Göbbels i Göring.

Wielkie igrzyska, w które zamieniono w ostatnim tygodniu t. zw. akcję przedwyborczą, mają zastąpić narodowi niemieckiemu lepszą przyszłość. Wyznaczony przez „Führera" i otrąbiony przez władze rządzącej partji Reichstag odegrać ma rolę wyraziciela woli ludu.

Czasem już i takie sposoby zawodzą: w Italji po latach 14-tu reżimu ma nastąpić nowy eksperyment: jednopartyjny parlament z nominacji zastąpiony być ma przez izbę faszystowsko-korporacyjną. Zapowiedział to Mussolini w dniu 23 marca na zgromadzeniu przedstawicieli 22 korporacji. Widzimy już ustrój „korporacyjny" w Austrji, istniejący na papierze, coś w tym rodzaju, funkcjonuje też w Portugalji. Bułgarja stanęła na rozdrożu, i niema odwagi pójść za temi niezachęcającemi wzorami. Na Węgrzech od czasu do czasu coś się mówi o tym ustroju, ale pomimo przyjaźni z Włochami przywiązanie do jakiego takiego przedstawicielstwa narodu jest tam zbyt głębokie, aby się ważono na takie doświadczenia. I choć rząd p. Gömbösa ma tam w sejmie większość ogromną, złożoną z przedstawicieli stronnictwa tak zwanej Jedności Narodowej, jednak rozlegają się w murach Sejmu węgierskiego czasem zarówno po prawej jak po lewej stronie izby słowa bezwzględnej prawdy, przykrej dla władzców naszych czasów. Niedawno z okazji obrad nad rządowym projektem o wywłaszczeniu niektórych majątków ziemskich (miało by to z jednej strony zaspokoić dążenia włościan do reformy rolnej, a z drugiej dać rządowi w rękę bicz na przeciwników i kiesę do dawania nagród stronnikom) były premjer konserwatysta, ale konstytucjonalista hr. Bethlen odezwał się w te słowa: Naród może być kierowany poważnie tylko przez rozwój cnót, które kwitną w duszach wolnych. System polityczny, który zdobywa dla siebie głosy, a nie przekonania — jest szkodliwy i skazany na zagładę.

Warto te słowa magnata węgierskiego — zachowawcy zapamiętać sobie przy ocenie zaszłych zjawisk i wydarzeń na arenie międzynarodowej.

Nadchodzące tygodnie przed świętami Wielkiej Nocy nie przyniosą zasadniczych rozstrzygnięć, ale w drugiej połowie kwietnia zetrą się wyraźnie w Europie dwa systemy polityczne — ten, który opiera się na cnocie dusz wolnych i ten, który przemocą zdobywa głosy bez przekonań. Jedną z rozgrywek będzie walka wyborcza we Francji. Dnia 26 kwietnia III-a Republika pójdzie do urn, aby powiedzieć, czy jest — jak mówił w tych dniach p. Daladier — po stronie „namiętnego umiłowania wolności, które stworzyło potęgę Francji, czy nie". Nie można mieć wątpliwości, iż odpowiedź wyborcy francuskiego na to pytanie będzie twierdząca. Pomimo wahań i powolności w działaniu i rozmyślaniu, stoi wiernie przy tych zasadach społeczeństwo angielskie. A z tych zasad stosowanych w polityce wewnętrznej płynie i polityka zewnętrzna. Stąd ten chorobliwy lęk przed osaczeniem, okrążeniem, o którym codzień mówi Hitler, jego poplecznicy i jego organy prasowe. Osaczenie obozu gwałtu przez front wolności — tego potrzeba Europie, to jedynie zapewnić może pokój. Nie można dziwić się, że droga do takiego rozwiązania jest trudna, długa, uciążliwa, a chwilami wydaje się beznadziejna.

t. r.

Wydział Aktualności Polskiego Radja

Polskie Radjo stworzyło specjalny Wydział Aktualności, którego celem jest dalsze usprawnienie radjowej służby informacyjnej i nawiązanie jeszcze bliższego kontaktu z bieżącemi zagadnieniami.

Wydział ten powstał z połączenia dawnego Wydziału Wiadomości Radjowych z Wydziałem Transmisyj i Referatem Rolnym, który wydzielono z Wydziału Odczytowego.

Nowy Wydział obejmuje swym zasięgiem sprawy polityczne, kultury i sztuki, gospodarcze, rolne, sportowe, popradnictwa technicznego dla radjosłuchaczy oraz transmisje i reportaże z życia. Oczywiście do audycyj kierowanych przez Wydział Aktualności należą również wszystkie trzy Dzienniki Radjowe oraz „Skrzynki", które służą do nawiązywania i utrwalania kontaktu ze słuchaczami.

Kronika spraw pracowniczych

UBEZPIECZENIA SPOŁECZNE I FUNDUSZ PRACY W OŚWIETLENIU SENATORÓW

W czasie rozważania w Senacie w dniu 11-ym marca r. b. budżetu Ministerstwa Opieki Społecznej wygłoszono szereg opinij, uwag i dezyderatów, odnoszących się do zagadnień, objętych działalnością tego Ministerstwa, pozbawionego Pracy (w nazwie), nadzwyczaj ważkich i słusznych.

W sprawach ubezpieczeń społecznych, które bynajmniej nie z winy świata pracy ulegają stopniowo klęsce wynaturzenia i wyniszczenia, senator Dr. Bobrowski, referent budżetu tego Ministerstwa, polemizując z niefortunnym senackim referentem generalnym budżetu Państwa, oświadczył m. in., co następuje: „Ustać powinny wreszcie ataki na t. zw. zdobycze socjalne, czas pracy, urlopy, ubezpieczenia".

O ubezpieczeniach społecznych generalny referent zamieścił w sprawozdaniu uwagi, których nie akceptowała Komisja Budżetowa i które wymagają sprostowania. Sprawozdawca generalny powiada, że liczne rzesze pracowników nie potrzebują ubezpieczenia. Jakie to rzesze — nie wiem. Ubezpieczenia społeczne tylko wówczas mogą być tanie i dawać dostatecznie wielkie świadczenia, jeżeli będą powszechne, jeżeli obejmą wszystkich pracowników fizycznych i umysłowych, a nie tylko tych, którzy mają minimalne zarobki.

Wreszcie generalny sprawozdawca twierdzi, że olbrzymi podatek, nałożony na t. zw. świat pracy, nie pozostaje w żadnym stosunku do korzyści, jakie świat pracy otrzymuje, względnie w przyszłości może otrzymać z obecnych ciężarów. Nadto powiada on, że ciężary te były ustalone w okresie dobrej konjunktury i nie zostały zmniejszone odpowiednio do zmienionych warunków, że ciążące na minimalnych dziś zarobkach ciężary służą jedynie do utrzymania sztabu 20 tysięcy urzędników. Nie mogę tych twierdzeń, zawartych w referacie generalnego sprawozdawcy, pozostawić bez sprostowania. Faktem jest, że ciężary społeczne, wbrew twierdzeniu p. sen. Kozłowskiego, zostały bardzo znacznie obniżone. W roku 1930 składki ubezpieczeniowe ogółem wyniosły 579 i pół miljona, a w roku 1935 już tylko 350 miljonów. Następnie nie jest zgodne z prawdą twierdzenie, iż ciężar ubezpieczeń nie stoi w żadnym stosunku do korzyści świata pracy i służy tylko na utrzymanie sztabu 20 tysięcy urzędników. W roku 1930 na 579 miljonów składek świadczenia wynosiły 494 miljony, a w roku 1934 na 365 miljonów składek świadczenia wynosiły 274 miljony. Świadczenia te mają nietylko wielkie znaczenie społeczne, ale odgrywają także doniosłą rolę gospodarczą, gdyż przeciwdziałają jeszcze większemu obniżeniu się konsumcji. Sądzę więc, że słowa referenta generalnego w tej sprawie polegają na nieporozumieniu, a frazes o 20 tysiącach urzędników znalazł się w referacie zapewne wskutek zbytniego ferworu".

Senator Pulnarowicz zaś naświetlił zagadnienie ubezpieczeń społecznych w następujący sposób: „Na ubezpieczenia społeczne należy patrzeć pod kątem widzenia zapewnienia państwu zdrowych obywateli i zabezpieczenia pracownika w razie nieszczęśliwego wypadku lub choroby... Nawoływanie większego i mniejszego kapitału do zniesienia przymusu ubezpieczeniowego powinno być tępione, jako godzące w interes obywateli i interes państwa".

Działalność Funduszu Pracy i jej potrzeby omawiał obszernie na tem posiedzeniu senator M. Malinowski. Mówca stwierdził m. in., że: „...Mamy do wykonania robót o charakterze państwowym i publicznym na dziesiątki lat, przez których wykonanie podnieślibyśmy wartość majątku narodowego — a nie możemy znaleźć finansowego rozwiązania tego zagadnienia. Brak nam do tego charakteru i silnej woli, by ruszyć z miejsca". Senator prosi również o przyjęcie rezolucji mniejszości komisji senackiej, wzywającej rząd do nieograniczania ani hamowania walki z bezrobociem, podejmowanej przez Fundusz Pracy, by położyć kres pogłoskom i nadziejom na likwidację tej instytucji.

Ponadto sen. Maciejewski zauważył, iż jest pożądane, żeby Fundusz Pracy więcej uwagi poświęcał bezrobotnym pracownikom umysłowym.

Gdy jest mowa o naszych ubezpieczeniach społecznych bezwolnie przychodzą na myśl słowa jednego z posłów, wypowiedziane ostatnio w Sejmie: „Instytucje ubezpieczeń społecznych stały się domeną protekcyj i resortem, który się napełnia ludźmi, zdolnymi do wszystkiego".

Istotnie, tak jest. W ubezpieczenia społeczne wali się od zewnątrz i od wewnątrz. W takich warunkach istnienia żadna instytucja ostać się nie może!

W WYNIKU KRWAWYCH ROZRUCHÓW ROBOTNICZYCH

W ostatnich dniach marca r. b., po krwawych rozruchach robotniczych w Krakowie i w Częstochowie, Prezes Rady Ministrów i resortowi ministrowie przyjęli szereg delegacyj naszych parlamentarzystów, względnie poszczególnych posłów i senatorów, którzy uzasadniali konieczność możliwie spiesznego rozpoczęcia robót publicznych celem złagodzenia klęski bezrobocia.

Naprzykład delegacja „Klubu dyskusyjnego posłów i senatorów b. uczestników walk o Niepodległość" wyraziła Panu Premjerowi z a n i e p o k o j e n i e w związku z ostatniemi zaburzeniami robotniczemi w różnych miejscowościach kraju i apelowała o uruchomienie robót publicznych.

W tymże czasie odbyła się narada w Prezydjum Rady Ministrów, poświęcona wykonaniu planu inwestycyjnego.

Czy panowie parlamentarzyści nie odczuwają tego, że łączy ich zbyt słaby kontakt z ludnością tych terenów, w których wydano im poselskie metryki pochodzenia?

Czy utrzymywanie stale przez panów parlamentarzystów omawianego kontaktu nie łagodziłoby w wielu wypadkach zaostrzeń sytuacji w świecie pracy, które doprowadzają — jak to wykazały ostatnie dni — do tragicznych, a najzupełniej zbędnych i możliwych do ominięcia, powikłań?

Omikron.

W TEATRZE

Uroczą sztuką gra teraz Teatr Nowy — „Tessę". Jest to z dość średniej powieści angielskiej Margaret Kennedy, rozkoszna przeróbka wybornego francuskiego pisarza Giraudoux. Na scenie ta historja „Wiernej nimfy" nabiera urody i blasku. Nabiera zwłaszcza dzięki temu, że pozwala nam wejrzeć w kapryśne i pełne humoru środowisko artystów i dzieci, które od kołyski naznaczył genjusz poezji i których drogą jest sztuka. Jest to dom wielkiego muzyka Sangera, którego przez cały czas nie widzimy na scenie, co jest wybornym pomysłem, bo postać tę całkowicie możemy zbudować według naszej fantazji. Nie widząc Sangera, wiemy o nim wiele. Widzimy gromadę jego dzieci, które są bardzo uroczemi odbitkami ojca. Każde z nich jest przesiąknięte duchem muzyki i poezji, swobodne i dzikie jak zwierzątko, kapryśne w drobiazgach, nieugięte w rzeczach istotnych, nie uznające żadnego skrępowania, ani obowiązującej moralności, uczciwe i lojalne, rozumiejące się nawzajem z pół słowa, z pół myśli. Dla dzieci Sangera ważniejsza jest fałszywa nutka podczas wykonywania sonaty, niż kwestja czy będą miały co na obiad. W miłości nie znają pruderji, ale potrafią być wierne. Wiek nie gra u nich roli, tylko autorytet moralny. Mały braciszek Sebastjan, rozwinięty i myślący nad wiek, ma w ich życiu bardziej decydujący głos niż dorośli. Pieniądze dla tych młodych artystów to zgroza, sztuka to wszystko, konwenanse naszego nudnego świata to śmierć.

Takie pojęcie artystów nie zawsze się pokrywa z prawdą, bywają wśród nich ciemne figury i tępe mieszczuchy, ale zawsze jednak prawdziwi artyści mają w sobie trochę zbawczego szaleństwa, buntu przeciw codzienności, trochę bzika, który ich ratuje przed martwotą i szarością świata. Tę swoją skłonność do stawiania wszystkiego do góry nogami promieniują na otoczenie i stąd się bierze ich atrakcyjność i urok.

Aktorzy Teatru Nowego wybornie wydobyli atmosferę tego zwarjowanego, przesiąkniętego poezją i młodością domu. Młode twarze na scenie, młode głosy, młode temperamenty w połączniu z tekstem pełnym humoru i wdzięku stworzyły przedstawienie, które naprawdę przenosi nas w świat milszy i ładniejszy od tego, który nas otacza.

W Teatrze Małym grają „Koko" komedję dobrego francuskiego pisarza scenicznego Acharda. Jest to dość ostra i drapieżna historja, ocierająca się o dramat, a nawet będąca dramatem, gdyby jej autor z dużą finezją i odrobiną cynizmu nie zaprawił wisielczym humorem. U nas tę sztukę grają jak farsę, może niesłusznie, bo w ten sposób giną istotne literackie wartości. Z drugiej strony potraktowana poważniej bardziejby może ujawniła swoje tragiczne strony i już zbytnioby nas zasmuciła. Bo oto widzimy kochające się małżeństwo, ona — wzór wszystkich cnót (z nadmiarem), on zakochany w niej bez pamięci, ale onieśmielony tą doskonałością. I nagle okazuje się, że ta purytanka była zwykłą zdzirą w portowem mieście. Okazuje się dalej, że jest w niej zakochany dorosły pasierb, że dla niej odtrąca młodą dziewczynę. Dodajmy jeszcze, że rzecz dzieje się w małem miasteczku, w którem życie z takiemi tajemnicami musi się stać niemożliwe, skoro nie dało się ich ukryć. Prawda, że wystarczy na krwawą tragedję? Otóż nie. Będzie z tego komedja, będą się ludzie śmieli i wszystko skończy się dobrze. Jakim cudem? To właśnie jest treścią sztuki. Wielką jej zaletą jest atmosfera szczerości i niekonwencjonalne kierowanie się uczuciem, zamiast liczenia się z opinją ludzką.

Irena Krzywicka.

Z WYDAWNICTW

GEN. F. SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI. „MELDUNKI U KOMENDANTA"
(Bibl. młodzieży „Polska i świat współczesny" Nr. 40.)

Na tomik ten składa się wybór wspomnień, zamieszczonych przez gen. Składkowskiego w większym zbiorze, kreślonych wiernie i szczerze przez jednego z najbliższych współpracowników Marszałka Piłsudskiego. Z wybranych epizodów z życia Marszałka: pobyt na froncie, wygnanie w Sulejówku, praca na stanowisku ministra i premjera, defilady, wyjazdy do ukochanego Wilna i szereg innych — tworzy sobie czytelnik obraz Marszałka w życiu publicznem i prywatnem, w chwilach decyzji i czynu, ale również i w chwilach znużenia.

Dla poznania Marszałka, książeczka gen. Składkowskiego ma nieocenioną wartość.

CIEKAWE WYDAWNICTWA.

Nakładem Instytutu Badania Najnowszej Historji Polski wydane zostało dzieło Michała Sokolnickiego, naszego obecnego posła w Szwecji, zatytułowane „Czternaście lat" (Warszawa, 1936 — str. 478).

Genezę powstania tej niezwykle interesującej pracy historycznej autor ujmuje w sposób oryginalny, a zarazem bardzo trafny i, bezwątpienia, zachęcający dla innych działaczy niepodległościowych, których słowo pisane stanowiłoby również wartościowe przyczynki do poznania i zrozumienia wielu faktów i okoliczności, związanych z najnowszą historją Polski. Min. Sokolnicki taką podaje w przedmowie motywację wydania swego dzieła: „...Byłem przez pewien czas we własnym kraju człowiekiem publicznym; uczestniczyłem w pewnych ruchach; głosiłem takie, czy inne idee; wyznawałem te lub owe przekonania; brałem udział w różnych decyzjach i czynnościach zbiorowych. Odpowiedzialność za te wszystkie pomysły i działania wziąłem nietylko przed własnem sumieniem, ale przed społeczeństwem, któremu według najlepszego rozumienia chciałem służyć, przed narodem, pojętym jako ciągłość zbiorowego istnienia i wysiłku. Wobec tego pewne fakta i idee mojego życia nie do mnie tylko należą... Ta polityczna strona mego życia z całą jego genezą należy nietylko do mnie — i winienem zdać z niej publiczny rachunek...".

Tak pojęty obowiązek obywatelski autor wciela w czyn, przedstawiając niezwykle ciekawie i z erudycją rasowego historyka bieg wypadków, pozostających w związku z pracami niepodległościowemi, w latach 1898 — 1913. Studjując to dzieło, zwłaszcza pierwsze jego części, czytelnik otrzymuje wrażenie, że niezwykłe bogactwo materjału, jakim darzy go autor, jest powiązane tylko luźnemi wewnętrznemi więziami biegu zdarzeń i łączności ze sobą opisywanych ludzi. Ale wrażenie to szybko znika, czytelnik bowiem kierowany umiejętnie przez talent narracyjny autora, szybko się orjentuje, że przedstawione tam fakty i osoby, względnie ich powiązania, pozostają we wzajemnych między sobą stosunkach przyczynowych i wynikowych, i że dopiero tak właśnie, jak to uczynił autor, jego drobiazgowa praca sprawozdawcza pozwala zrozumieć i należycie ocenić prawdę i wagę tych wszystkich poczynań i ludzi, z Józefem Piłsudskim na czele, których największem pragnieniem umysłów i serc była niepodległa, demokratyczna Polska.

Po przeczytaniu „Czternastu lat" musimy sobie otwarcie powiedzieć, że o wielu, wielu sprawach — jakże ważnych dla kształtowania się losów naszej Ojczyzny — nie wiedzieliśmy nic, albo wiedzieliśmy bardzo mało.

Praca Michała Sokolnickiego ułatwiła nam znakomicie poznanie pewnego okresu historji walki narodu o jego wolność. Na tem polega przedewszystkiem wielka wartość tej księgi.

Autor może być dumny z dobrze spełnionego obowiązku — jaki sam na siebie nałożył — zdania publicznego rachunku ze swej działalności pro publico bono w okresie owych lat czternastu.

„NIEPODLEGŁOŚĆ" I „KRONIKA RUCHU REWOLUCYJNEGO W POLSCE".

Ostatnie zeszyty tych perjodyków zawierają szereg prac, poświęconych dziejom walk wyzwoleńczych, niezwykle ciekawych i doskonale opracowanych.

Zeszyt drugi tomu XIII „Niepodległości" (z marca r. b.), w niezawodnej i o wysokim poziomie redakcji Leona Wasilewskiego, zaznajamia czytelnika m. in. z piękną postacią Francuza, patrjoty polskiego, Aleksandra Vacqueret (1842—1910), opisaną przez Kazimierza Króla, następnie ze wspomnieniami zasłużonego działacza niepodległościowego, Józefa Nowickiego, z czasów pracy konspiracyjnej w Wierżbołowie. Aleksander Rutkowski omawia w swej ciekawej pracy „Oświęcim w roku 1915", dzieje propagandy legjonowej w Małopolsce; pierwszą część zeszytu kończy bardzo pouczająca praca (ciąg dalszy) Franciszka Żórka, zatytułowana „Powiat Krasnystawski w walce o wolność". Poza tem zeszyt obejmuje, jak zwykle, ciekawe, Miscellanea z pracą Jana Krzesławskiego o „Nielegalnem piśmie szkolnem" na czele, dalej listy Józefa Piłsudskiego w opracowaniu Leona Wasilewskiego i Wł. Pobóg-Malinowskiego, wreszcie liczne sprawozdania. Zeszyt zdobią ciekawe ilustracje.

Zeszyt za pierwszy kwartał r. b. „Kroniki ruchu rewolucyjnego w Polsce", organu Stowarzyszenia b. więźniów politycznych, redagowanego przez zasłużonych działaczy niepodległościowych: J. Krzesławskiego i A. Próchnika, poświęcony został wspomnieniom o „Proletarjacie" z okazji 50-lecia powstania na ziemiach polskich tej pierwszej polskiej partji socjalistycznej. Zeszyt ten, o 80 stronach druku, przedstawia się bardzo dodatnio pod względem doboru prac historycznych i pamiętnikarskich. Poza sześcioma artykułami podstawowemi, Redakcja dała dobrze opracowany dział sprawozdawczy, dalszy ciąg skorowidza nazwisk działaczy niepodległościowych i ich wrogów — szpiegów i prowokatorów, wreszcie dalszy ciąg ciekawej księgi życiorysów działaczy rewolucyjnych.

Zarówno „Niepodległość", jak i „Kronika ruchu rewolucyjnego w Polsce" posiadają, poza dużemi wartościami historycznemi, olbrzymi walor wychowawczy dla młodych pokoleń naszych obywateli. Prace bowiem w tych wydawnictwach drukowane, ujawniają najwspanialsze i najwyższe wartości obywatelskie, któremi były, są i będą: cześć dla Demokracji, niezłomne postanowienie Wolności, miłość Ojczyzny, wreszcie poświęcenie i bezinteresowność we wszelkich poczynaniach Polaków, dokonywanych w imię Demokracji, Wolności i Ojczyzny.

Kao.

Problematy litewskie

III.

ODBICIE ŻYCIA W SZTUCE.

Ze wszystkich krajów, z nami sąsiadujących najmniej może znamy Litwę, pomimo, że widzimy ją doskonale z okien wagonu w drodze do Wilna, lub jeśli kto woli — przez Niemen pod Druskiennikami. A jednak, pominąwszy względy polityczne, znajomość kultury naszych sąsiadów jest poniekąd obowiązkiem; zwłaszcza, że Litwa może najbardziej wzbogaciła natchnieniem swych baśni i legend nasze czasy romantyzmu w literaturze i sztuce. Te pieśni ludowe, obchody weselne i klechdy, to naturalne złoża folkloru, z których czerpali tematy liczni poeci pomickiewiczowscy, a także i kompozytorzy z Mieczysławem Karłowiczem na czele. O ile litewska pieśń religijna nosi na sobie cechy kultury polskiej, o tyle „dajny", czyli pieśni ludu, są wybitnie oryginalne. Podkreślili to już dawniej: Baudouin de Courtenay i Zygmunt Noskowski — pierwsi badacze folkloru muzycznego na Kowieńszczyźnie. Wydali oni nawet pod auspicjami Krakowskiej Akademji Umiejętności jeszcze przed wojną pierwszy zbiór melodji ludowych litewskich. Te skromne, ośmiotaktowe „dajny", stanowiące współczynnik szeregu uroczystości ludowych, zwłaszcza — weselnych, stanowią nie mniejszą osobliwość, niż tysiące przepięknie rzeźbionych krzyżów i pasyj przydrożnych, zdobiących drogi i rozstaje tego kraju.

Podczas swoich częstych wędrówek po Litwie uderzała mnie zdawna cecha *konstrukcyjności* w wykonaniu pieśni, mówiąc ściślej — naturalna skłonność do wielogłosowości*). W żadnym innym folklorze, łotewskim, czy — estońskim, nie spotykałem tej skłonności do interpretacji pieśni expromptu na trzy i więcej głosów. Ta niezwykła tendencja harmoniczna jest może największą z osobliwości pieśni litewskiej.

Temu zapewne należy przypisać, że pierwszym etapem w powitaniu muzyki współczesnej w tym kraju był w o k a l i z m, kontrastujący żywo z jednogłosowym chorałem, spotykanym w krajach protestanckich. Zaznaczmy, że pierwszymi pionerami pieśni ludowych byli organiści, począwszy od skromnych wiejskich dyletantów, kończąc na Naujalisie (zmarłym w r. 1935), którego chóralna twórczość ceniona jest wysoce zagranicą a kompozycje kościelne weszły w skład watykańskiej antologji, chóralnej.

Chór na Litwie istnieje w każdem najmniejszym osiedlu; jest on ulubioną formą muzyczną. Nic więc dziwnego, że od pierwszych chwil niepodległości rozwój muzyki wysunął się na czoło innych zamierzeń kulturalnych. Grono młodych entuzjastów, żywo mi przypominających historyczne „kółko florenckie" z XVII stulecia stworzyło w r. 1918-ym wspólnym ideowym wyrokiem obecną kowieńską scenę o p e r o w ą. Inni znów wykwintny zbiór etnograficzny pieśni Litwy i Żmudzi — chlubę prac wydawniczych Kowna.

Wpośród kompozytorów litewskich pierwsze miejsce oddać należy Mikołajowi Cziurlionisowi, który zarówno oryginalnością inwencji twórczej, jak nawskroś nowoczesną formą przerastał już dawno († 1909) możliwości swego kraju.

Wykształcony w Warszawie, gdzie był słuchaczem kompozycji u Z. Noskowskiego, odbył Cziurlionis następnie gruntowne studja malarskie u Wyspiańskiego w Krakowie.

I nastąpiło w nim przedziwne jakieś rozdwojenie: Cziurlionis-kompizytor i Cziurlionis-malarz wizjoner dopełniali się nawzajem. Słuchając jego poematów symfonicznych na wielką orkiestrę i jednocześnie patrząc na zdobiące wydanie muzyczne dzieł jego minjatury obrazów-wizyj, trudno jest orzec który z tych dwu ludzi był bardziej genjalny. Nic dziwnego, że Cziurlionis stał się dla Litwy bożyszczem artystycznem, a jego styl kompozytorski pobudził do wysiłków twórczych młodą generację muzyków kowieńskich. Lecz nie dorównują mu oni: ani Zadejka, ani Gruodis, rektor obecny konserwatorjum kowieńskiego. Ani wreszcie młody „atonalista" à la Szymanowski — Baceviczius, którego słyszeliśmy w roku ubiegłym w Polskiem Radjo. Karnowicz natomiast sięga do Mickiewicza, budując na jego inwencji poetyckiej pierwszą oryginalną operę litewską „Grażynę". Wadą ogólną kompozytorów litewskich to *nadmiar tematyki*, słabe natomiast jej rozwinięcie. Jeżeli się jednak zważy, że każde młode państwo lubuje się nadmiernie w swym folklorze, braki te w muzyce można na razie usprawiedliwić. Strona „nadawcza"—to jest kompozytor znajduje, dzięki tym właśnie nastrojom, idealnie zespolony z nim aparat „odbiorczy", czyli pełną entuzjazmu, przy słabszym krytycyźmie, publiczność, śledząca z dumą powstanie każdego nowego utworu, a zwłaszcza — pierwszej opery narodowej.

Trzeba widzieć, jak co sobotę zajeżdżają z dalekiej prowincji żółte autokary, przywożące do gmachu Opery Kowieńskiej setki wieśniaków i wieśniaczek. Trzeba słyszeć z jakiem skupieniem słuchają oni dzieł Rossiniego, czy Bizeta! Jak omawiają swoje wrażenia w antrakcie! Biorąc to objektywnie, trzeba stwierdzić, że muzyka stała się w tym kraju artykułem pierwszej potrzeby kulturalnej, przypominając mi czasy antycznej Grecji, kiedy bez muzyki nie było życia.

Młodzi twórcy litewscy studjują przeważnie w Lipsku, będącym do niedawna Mekką dla studenta kowieńskiego; starsza generacja kończyła nauki przeważnie w Warszawie lub — Moskwie. Dzięki temu istnieje pewna rozbieżność wpływów w kompozycji muzycznej.

Jedno jest pewne, że artysty na miarę Cziurlionisa. Litwa obecnie nie posiada. Stoją przed muzyką litewską otwarte drogi do pięknego rozwoju. Do tego twierdzenia upoważnia nas przedewszystkiem obfitość złóż folkloru, poza tem zaś co może ważniejsze — zupełna apolityczność muzyki.

Wł. Burkath.

*) patrz moją pracę p. t. „Z badań nad budową litewskiej pieśni ludowej". Poznań, 1927.

CENY OGŁOSZEŃ: Za miejsce wysokości 1 milimetra w jednej szpalcie: na str. 1-ej zł 1.—; w tekście 70 gr.; za tekstem 50 gr. **Nekrologi** po 20 gr., najmniejszy nekrolog 20 zł. Ogłoszenia cało i półstronicowe wg. cen specjalnych. Ogłoszenia tabelaryczne o 25% drożej Ogłoszenia w kolorze o 50% drożej. Nieumieszczenie ogłoszenia nie obowiązuje Administracji do podawania powodów. **Redakcja rękopisów nie zwraca.**

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. **PRENUMERATA: roczna zł. 4.50.** **Konto wydawcy w P. K. O. 21670**

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Czackiego 14, tel. 269-40**

Redaktor Naczelny i odpowiedzialny: **Juljusz Domański.** Wydawca: **Zarząd Główny Zw. Zaw. Prac. Ubezp. Społ. w Polsce**

2613 Druk Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.